48 (784) Rok XV

26.11.72

50 LAT ZSRR

CENA 1.50 ZŁ

POSTAWY LUDZI RADZIECKICH

Rozpoczynamy druk artykułów Władysława Bortnowskiego o postawach ludzi radzieckich. W pierwszym artykule z tego cyklu autor omawia czasy pierwszej pięciolatki, pokazując, jak w toku pracy kształtowały się postawy, jak tworzył się model nowego społeczeństwa, czasów budowy socjalizmu.

Artykuł ten publikujemy na str. 3.

MOSKIEWSKA MOZAIKA — pod takim tytułem **JERZY WILMAŃSKI** pisze o współczesnej Moskwie. Autor pokazuje nowoczesną Moskwę, stale zmieniającą, szybko rozwijającą, a jednocześnie wtopioną w Moskwę dawnych lat, XIX-wiecznej architektury, Moskwę „pałaców kultury" i nowoczesnych budowli. Miasto pełne uroku, które gdy ktoś raz zobaczy, chętnie będzie do niego wracał.

Artykuł o Moskwie czytaj na str. 4.

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

LEW NIKULIN

BABEL

Uwielbiał zabawne mistyfikacje. Mistyfikacje uprawiał na żarty i serio, prawdopodobnie po to, aby lepiej poznać ludzi.

Uczyliśmy się w tym samym czasie w Odessie, w szkole kupieckiej imienia Imperatora Mikołaja Pierwszego. Aż dziwne, że odescy kupcy wybrali na patrona swojej szkoły cara, który nie cenił handlu.

Babel chodził o klasę niżej, ale przypominam sobie chłopczynę w okularach, ubranego w podstarzały tużurek oraz pomiętą czapkę z zielonym otokiem i herbem przedstawiającym kaduceusz Merkurego...

Gdy spotkaliśmy się po szesnastu latach u Wasyla Reginina, dziennikarza, redaktora czasopisma „30 dni", Reginin nie wymienił nazwiska Babla, tylko przedstawił go jako ważnego działacza przemysłowego. W ciemnoniebieskiej kurtce, która dawniej nazywana była frenczem, Babel zupełnie nie wyglądał na przemysłowca. Jednakże Reginin szybko przeniósł rozmowę na tematy literackie, pytając, czy czytałem „Sól", „Śmierć Dołguszowa" i inne opowiadania o Konnej Armii. Wtedy Babel powiedział:

— Pan mnie sobie nie przypomina? A ja pana pamiętam. Grał pan rolę Tartuffe'a w komedii Moliere'a w szkolnym teatrze.

Odparłem, że grałem pierwszy i ostatni raz w życiu.

— Myślałem, że zostanie pan aktorem... A ja, czy wyglądam na odpowiedzialnego pracownika?

Przy pożegnaniu Babel powiedział: „Będziemy się widywać".

Ale tak się złożyło, że w tamtym czasie mogliśmy się widywać przede wszystkim za granicą, w Paryżu, jesienią 1927 r.

W Paryżu pisywaliśmy do siebie tak zwane pneumatyki — karteczki przesyłane pocztą pneumatyczną.

„Drogi Lwie Beniaminowiczu. Całkiem się rozchorowałem. Nie sypiam w nocy, duszę się, okropne przeziębienie, puchną mi oczy, ropieją — w ogóle ulegam rozkładowi o wiele mniej estetycznie niż paryska burżuazja. Bardzo chciałbym pana zobaczyć. Kompanem będę, oczywiście, zadnym. Jak tylko dojdę do siebie — zameldуję się u pana. Zawczasu — uprzedzę listownie.

PAŃSKI BABEL
14/IX-27"

Ale nie uprzedzał, bo wcześniej wstępował i wybieraliśmy się na spacer po jesiennym Paryżu. Mówił:

— Powinniśmy dziękować Bogu, że naszym nauczycielem był Francuz Vadaun. Nauczył nas trajkotać po francusku, inaczej bylibyśmy tutaj głuchoniemymi.

Kompanem był wesołym. Gdy spotykał coś śmiesznego, zatrzymywał się i długo chichotał urywanym śmiechem, tracąc oddech — miał słabe serce.

Pewnego razu, było to na Montmartrze, zatrzymaliśmy się naprzeciw jednego z tych domów, które mają wiadomą reputację w nocnym Paryżu. Nocami kipiało tutaj życie. Zabrnęliśmy na tę ulicę rankiem — wszystkie okna były otwarte na oścież, ukazując całą pretensjonalność przepychu, zwierciadła — wszystko widoczne jak na dłoni.

— Jak pan przypuszcza, czy w tym zakładzie prowadzą księgi rachunkowe?

— Myślę, że prowadzą. To przecież przedsiębiorstwo handlowe, płaci podatki.

Dalszy ciąg na str. 8

EWA NAGURSKA

Wokół filmów animowanych narosło od lat wiele nieporozumień. Najpierw, dawno temu, wrzucano je hurtem do jednego worka z etykietką „kreskówki". Dziś z szacunkiem nazywamy owe kreskówki filmami animowanymi, wiemy jak wiele bogactwa w postaci pomysłów technicznych i plastycznych zawierają, jak bardzo są różnorodne w formie, ale nadal nie wiemy, czy film animowany jest odrębnym gatunkiem filmowym czy nie jest?

SE-MA-FOR:

KŁOPOTY WIEKU DOJRZAŁEGO

To pytanie zresztą nie jest istotne dla realizatorów. Robią oni swoje kreskówki i filmy lalkowe, swoje wydzieranki i drapanki, konstruują bohaterów z plastyku, drutów, żelastwa, plam farby, plasteliny, kresek i rys, wydrapywanych bezpośrednio na emulsji — i martwią się raczej innym zagadnieniem: **kto ma oglądać te filmy? Do kogo są adresowane filmy animowane?**

Dawniej, w zamierzchłych czasach, kiedy na ekranie królowała Myszka Miki i jej serdeczni przyjaciele, kłopoty tego rodzaju nie istniały. Wiadomo było, że kreskówki są dla dzieci, ale i film dla dorosłych, bez kreskówki na początku seansu nie miał racji bytu. Disney i Fleischer dostarczali rozrywki ludziom od lat sześciu do stu sześciu. I współczesny widz zresztą tęskni do „Disneylandu" (pewnie dlatego telewizja tej serii nie wznawia), a dorośli razem z dziećmi oglądają trzeciorzędną produkcję Hanny i Barbery jak leci — nawet głupawe historyjki o gorylu i aligatorze, wzdychając wszelako za Psem Hucklberry i Kotem Jinksem. Ledwie pojawili się w postaci ogólnie dostępnej, to jest na ekranie telewizorów polscy bohaterowie: Bolek, Lolek, Colargol i Smok Telesfor — już zyskali sobie sympatię i widownię o bardzo zróżnicowanym wieku i poziomie umysłowym. Można by więc pomyśleć, że teraźniejszość i

Dalszy ciąg na str. 6

KONRAD FREJDLICH

BYĆ współczesnym

Co pewien czas wybucha u nas spór o stan krytyki artystycznej w Polsce, który najczęściej rozpoczyna się w środowisku stołecznym, a później rozprzestrzenia się także w innych ośrodkach. Tak było w roku 1961, kiedy to „Przegląd Kulturalny" prowadził szeroką dyskusję o prawie do sądu, która dałaby się sprowadzić do dwóch skrajnych stanowisk. Z jednej strony, a nie jest to pogląd całkiem odosobniony, uważano, że krytyka jest po prostu literaturą bez fikcji i głosi własne prawdy o człowieku tylko posiłkując się dziełami, które stworzyli inni, z drugiej zaś przypominano, że nie jest ona twórczością suwerenną i ma za zadanie porządkować i wartościować dzieła, którymi się zajmuje. Zasygnalizowana tu skrajność jest zresztą pozorna, na co zwrócił był uwagę już **Karol Irzykowski** w swojej głośnej książce „Słoń wśród porcelany" (1934). Pisał tam wtedy:

„Krytyka nie jest i nie potrzebuje być samowystarczalną, skoro jest, jak rzekłem, konfrontacją dwóch tworzyw: dokonanego i niedokonanego. Ale w razie potrzeby krytyka może być samowystarczalną. Gdy poezja przestaje spełniać swoją misję, gdy zrobi się fałszywą i bezduszną, wtedy krytyka może wystąpić ze swym materiałem z ukrycia i objąć jej funkcje".

Nie jest to sytuacja tylko hipotetyczna, jak tego dowiodła działalność eseistyczna „Miesięcznika Literac-

Dalszy ciąg na str. 5

FRYZURY

ANDRZEJ GRUN

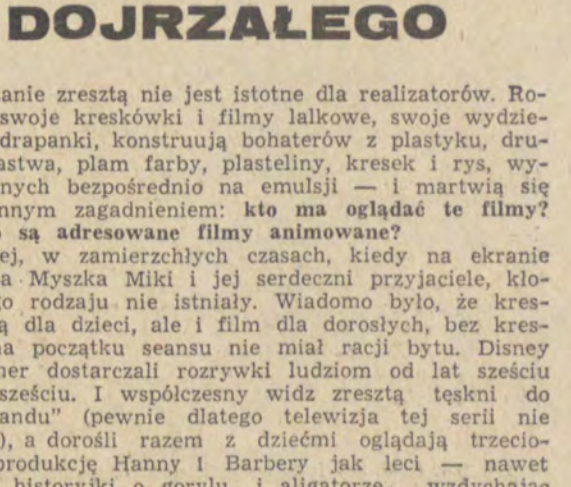

ZE ŚWIATA

Trzy duże tematy zwracały w ostatnich dniach uwagę opinii światowej: wybory parlamentarne w NRF, rokowania paryskie w sprawie Wietnamu oraz wielostronne rozmowy w Helsinkach, które mają przygotować europejską konferencję bezpieczeństwa i współpracy. Tematom tym chcielibyśmy poświęcić dzisiejszy komentarz.

*Nigdy chyba w historii NRF wybory do Bundestagu nie wzbudziły tak szerokiego zainteresowania poza granicami tego kraju, jak obecne. I nigdy chyba sympatie nie kierowały się tak jednoznacznie w stronę jednego człowieka — Willy Brandta. Wniósł on bowiem w okresie swej skróconej kadencji realizm do polityki zagranicznej, dokonując kilku politycznych otwarć. Gdyby więc tylko o politykę zagraniczną chodziło — wynik wyborów można by przesądzić d a l e k o przed 19 listopada. Ale opozycja koncentrowała uwagę wyborców przede wszystkim na problemach wewnętrznych, wykazując stagnację gospodarczą w NRF. Do ostatnich godzin przed otwarciem lokali wyborczych nie było zatem można wskazać na zwycięzcę. Liczne sondaże dawały niemal równą ilość punktów dwóm z dziewięciu uczestniczących w wyborach partiom: SPD i CDU *), a odpowiedź na pytanie: co bardziej porusza prawie 41 mln obywateli, uprawnionych do głosowania, polityka zagraniczna czy wewnętrzna — nie była łatwa do ustalenia. Szanse na fotel kanclerski Brandta i Barzela pozostawały wyrównane, nikt też nie kusił się, aby przed ogłoszeniem wyników dzielić mandaty w Bundestagu.*

Rezultaty niedzielnego głosowania są już czytelnikom znane, na ich analizę na tym miejscu będzie czas w przyszłym tygodniu.

Przejdźmy więc do drugiego tematu tygodnia: konfliktu indochińskiego. Wiadomość, że do stolicy Francji przybył specjalny doradca delegacji DRW — Le Duc Tho i odbędzie tam spotkanie z Kissingerem, obudziła nadzieje na podpisanie porozumienia w sprawie zaprzestania działań wojennych i przywrócenia pokoju w Wietnamie.

Porozumienie to — przypomnijmy — powinno być podpisane 31 października, ale strona amerykańska złamała zobowiązanie, pod wpływem reżimu sajgońskiego wniosła jeszcze kilka zastrzeżeń i domagała się dodatkowych rozmów. Dlatego właśnie w Paryżu spotkali się Le Duc Tho i Kissinger. W chwili, kiedy oddajemy komentarz do druku, nie znamy jeszcze wyników dodatkowych rokowań. Obserwatorzy przypuszczają, że podpisanie porozumienia ulegnie jeszcze pewnej zwłoce, ale z pewnością będzie miało miejsce przed końcem roku. Oznacza to, że Waszyngton raz jeszcze zamierza d y s k u t o w a ć niektóre punkty porozumienia, wcześniej już uzgodnionego, podczas gdy DRW chce tylko uzgodnić szczegóły podpisania dokumentu.

Tymczasem walki w Wietnamie toczą się nadal i lista strat po obu stronach wydłuża się z każdym dniem. Właśnie opublikowano najbardziej aktualny rachunek amerykańskich ofiar. Wynika z niego, że w Wietnamie zostało zabitych prawie 46 tys. żołnierzy amerykańskich, poza polem walki straciło życie ponad 10 tys. Amerykanów, a liczba rannych przekroczyła 303 tys.

I temat trzeci przeglądu aktualiów — konferencja w Helsinkach.

22 listopada rozpoczęła się w stolicy Finlandii pierwsza runda wielostronnych rozmów przygotowawczych do europejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa i współpracy. Zadaniem przedstawicieli państw europejskich oraz USA i Kanady jest przedyskutowanie i ustalenie spraw proceduralnych: porządku obrad, sposobu głosowania na konferencji, zasad przewodnictwa... Spotkanie nie ma więc charakteru spektakularnego, lecz bardzo roboczy.

Spotkanie w Helsinkach zapoczątkowuje jednak etap b e z p o ś r e d n i c h przygotowań do konferencji, czyli stawia ją już praktycznie na porządku dnia.

Droga do konferencji nie była łatwa. Idea jej zwołania, wysunięta przez kraje socjalistyczne, choć zaaprobowana od razu przez większość zainteresowanych krajów, napotykała przeszkody. Nie były jej zwolennikami Stany Zjednoczone i trzeba było dopiero moskiewskich rozmów prez. Nixona, aby stanowisko USA uległo zmianie. Niektóre inne kraje, opowiadając się za konferencją, zwlekały z podjęciem prac przygotowawczych. Trzeba było dziesiątków rozmów dwustronnych, dyskusji i wyjaśnień, aby doprowadzić do otwarcia etapu bezpośrednich przygotowań.

Oczywiście dużą rolę odegrały tu tegoroczne porozumienia, normalizujące sytuację w środku Europy oraz wyniki rozmów dwu światowych supermocarstw.

Dzień przed spotkaniem ambasadorów w Helsinkach — w Genewie rozpoczęła się druga tura rozmów między ZSRR i USA na temat ograniczenia systemów broni strategicznych. Pierwsza, jak wiadomo, przyniosła porozumienie, podpisane w Moskwie w czasie wizyty Nixona. Najogólniejszym celem rozmów „SALT II" jest przekształcenie pięcioletniego porozumienia o z a m r o ż e n i u niektórych zbrojeń ofensywnych na postanowienie o ich p r z e r w a n i u, co praktycznie oznaczałoby np. zaniechanie produkcji głowic atomowych.

Pierwsza sesja „SALT II" stawia sobie za zadanie ustalenie wytycznych do konkretnych rokowań w roku przyszłym.

Wielostronne spotkanie w Helsinkach poprzedza również propozycja krajów atlantyckich rozpoczęcia w dniu 31 stycznia 1973 roku rozmów w sprawie wzajemnych i zrównoważonych redukcji zbrojeń w Europie. W myśl tej propozycji miałyby to być rozmowy z udziałem 7 krajów zachodnich i 5 wschodnich: dwu supermocarstw i państw z „centralnego rejonu Europy".

W. SŁAWSKI

*) We wrześniu 1969: SPD — 42,7 proc., CDU/CSU — 46,1 proc.

Po VII Kongresie Związków Zawodowych

W dniach od 13 do 15 bm. obradował w stolicy VII Kongres Związków Zawodowych, najwyższe forum blisko 11-milionowej rzeszy polskich związkowców. Udział w kongresie wzięło 1.727 delegatów reprezentujących wszystkie zawody i wszystkie regiony kraju. Obradowano zarówno na sesjach plenarnych, jak również w 17-tu zespołach problemowych, co umożliwiło zabranie głosu 402 delegatom. (259 złożyło swoje wnioski do protokółu).

W pierwszym dniu obrad zebrani z uwagą i pełną aprobatą wysłuchali przemówienia I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka, który w obszernym wystąpieniu omówił dorobek kraju w ostatnich dwóch latach, osiągnięcia w zakresie polityki społecznej partii i aktualnie związane z tym zadania, podkreślając znaczenie jakie ma dobra praca na każdym stanowisku, wskazując na sprawy, których rozwiązanie należy do związków zawodowych, najważniejszej organizacji społecznej w warunkach budowy socjalizmu. Towarzysz Gierek wysoko ocenił dotychczasową działalność związków zawodowych.

Opracowany na obecnym kongresie program działania jest zgodny z interesami ludzi pracy, konkretyzuje i wzbogaca ogólne wskazania partii w zakresie polityki społecznej. „Działalność związkowa — powiedział Edward Gierek — zawsze i wszędzie powinna być szczególnym rodzajem służby społecznej, służby robotniczym kolektywom i sprawom ludowego państwa. W tej zaszczytnej służbie społecznej wszystkie instancje i organizacje PZPR będą udzielać ruchowi zawodowemu wszechstronnej pomocy i poparcia".

Dla praktycznej związkowej działalności potrzebna jest umiejętność — jak wskazał to I sekretarz — formowania wszelkich postulatów w konfrontacji z możliwościami kraju, interesem ogólnospołecznym, uwzględniając hierarchie potrzeb. A więc konieczne jest stałe oddziaływanie na świadomość załóg, że postęp społeczno-gospodarczy zależy od wkładu, jaki wniesie każdy pracownik i każdy zespół.

W dokumentach kongresu przemówienie Edwarda Gierka przyjęto jako główną kierunkową wytyczną dla kształtowania i realizacji ideowo-wychowawczych i ekonomiczno-społecznych działań wszystkich ogniw ruchu związkowego, dając tym samym wyraz wierności zasadzie uznawania przez związki zawodowe kierowniczej roli PZPR. Z gorącą aprobatą przyjął również kongres propozycję utworzenia Narodowego Funduszu Ochrony Zdrowia, a niewątpliwie tę słuszną inicjatywę poprą ofiarnie wszyscy ludzie pracy w naszym kraju.

Również składowa część dokumentów kongresowych stanowi referat wygłoszony przez przewodniczącego CRZZ Władysława Kruczka. Spotkał się on z poparciem i aprobatą w toku obrad kongresu i będzie łącznie z podjętą uchwałą stanowić główne wytyczne w pracy związków zawodowych na lata 1973—1976.

Niezależnie od powyższych dokumentów kongres podjął rezolucje o znaczeniu wykraczającym poza problemy krajowe. Był to wyraz solidarności ze związkowcami bratnich krajów socjalistycznych i walczącym narodem Wietnamu. Dokonano również szeregu zmian w statucie, które mają znaczenie nie tylko formalne, ale obrazują treści jakościowych przemian, jakie dokonały się w ostatnim okresie w działalności związków zawodowych, wychodzą naprzeciw zmianom, jakie zapowiada projekt kodeksu pracy.

Dokumentów jest wiele i wiele jest doniosłych decyzji. Głos związkowców polskich zabrzmiał jednolicie i zdecydowanie, z optymistycznym przekonaniem odnośnie naszego dziś i jutra. Kongres nie był jednak tylko manifestacją tej jedności i przekonania, ale roboczym w pełni i konkretnym wkładem w rozwój naszego życia społeczno-gospodarczego.

Liczby nie mówią wszystkiego, ale zgłoszono w dyskusji przedkongresowej ponad 1500 wniosków, które uznano za słuszne. To ma swoją wymowę. Świadczy o rzeczywistym formowaniu się opinii oddolnych, które znajdują zrozumienie i przyjmować będą kształt rzeczywisty. Bo chociaż nie wszystkie wnioski można od razu zrealizować, opracowano plan stopniowego, w oparciu o realne możliwości, wcielania ich w życie. I jest to gwarancja, że nie pozostaną tylko w sferze życzeń.

Zjazd związkowców miał również poważne znacznie międzynarodowe. Liczne delegacje z wielu krajów świata, kierowane były przez przedstawicieli najwyższych władz związkowych. Ich głosy z trybuny kongresu, życzenia i dzielenie się własnymi doświadczeniami — to symbol międzynarodowej solidarności robotniczej.

(J. W.)

W POBLIŻU

▲ **DEKADA KULTURY BUŁGARSKIEJ.** Rozpoczęła się w Łodzi dekada kultury bułgarskiej. W jej ramach w Klubie Dziennikarza otwarto wystawę ikon oraz odbyła się konferencja prasowa z udziałem przedstawicieli Ambasady Bułgarskiej w Warszawie.

▲ **DNI FRANCUSKIE** zorganizowała Rada Okręgowa Zrzeszenia Studentów Polskich w Łodzi. W wybranych kinach odbywa się przegląd filmów francuskich. W Muzeum Sztuki — wystawa malarstwa francuskiego. Poza tym zorganizowano liczne odczyty, spotkania i koncerty.

Po „Teatriconie — 72" jest to druga interesująca inicjatywa ZSP w Łodzi.

▲ **DLA DOBRA DZIECI.** W Łodzi powstało pierwsze całotygodniowe przedszkole. Miejmy nadzieję, że nie jedyne.

Od dawna powtarzamy przy różnych okazjach powszechnie znaną prawdę, że **Łódź jest miastem kobiet pracujących.** Z prawdy tej mało jednak wyciągamy wniosków. Utworzenie pierwszego całotygodniowego przedszkola nie zmienia tej sytuacji. Jest to bowiem minimalna pomoc dla wielu samotnych matek, które niekiedy muszą pracować na dwie lub trzy zmiany. Rozumiem, że pierwsze łódzkie całotygodniowe przedszkole jest swego rodzaju próbą, która pokaże, jakich błędów i kłopotów trzeba będzie uniknąć przy tworzeniu następnych.

Całotygodniowe przedszkola nie mogą być przechowalnią dzieci dla tych matek, które nie chcą się nimi zajmować. Powinny stanowić pomoc w wychowaniu dzieci matkom, które nie mają ku temu należytych warunków. I dlatego matki będą mogły w każdej chwili odwiedzać swoje dzieci, chodzić z nimi na spacer, spędzać wolny czas.

Pierwsze łódzkie całotygodniowe przedszkole ma już kłopoty; **nie udało się przedłużyć czasu pracy lekarza i pielęgniarki, a przecież przy całotygodniowym cyklu pracy przedszkola opieka lekarska jest n i e z b ę d n a. Okazuje się, że łatwiej u nas o dobry pomysł niż uporanie się z przepisami. To też powszechnie znana prawda, z której należałoby wyciągnąć właściwe wnioski.**

▲ **W BEŁCHATOWIE** obradował na plenarnym posiedzeniu Komitet Powiatowy PZPR. Tematem obrad były problemy pracy ideowo-wychowawczej w partii oraz sposoby załatwiania skarg i wniosków przez instytucje powiatu bełchatowskiego. W toku obrad dokonano też zmian we władzach partyjnych bełchatowskiej organizacji partyjnej. Sekretarzem KP PZPR wybrano **Jerzego Kraupego**, dyrektora Szkoły Podstawowej w Grocholicach. Poprzedni sekretarz — **Henryk Tarka** przeszedł do pracy w KM PZPR w Zduńskiej Woli, gdzie został wybrany sekretarzem. Komitet Powiatowy PZPR w Bełchatowie zwolnił też z funkcji sekretarza **Hieronima Marcinkowskiego**, wybierając na jego miejsce **Jacka Zobka**, dotychczasowego instruktora do spraw rolnych. Hieronim Marcinkowski został prezesem Spółdzielni Ogrodniczej w Piotrkowie Tryb.

▲ **ŁÓDZKA JESIEŃ POEZJI.** W najbliższą niedzielę, 26 listopada br. odbędzie się organizowany przez Zarząd Łódzki ZMS i Łódzki Dom Kultury **TURNIEJ RECYTATORSKI O JESIENNY LAUR ŁODZI.** Każdy uczestnik Turnieju może w dowolnej formie zaprezentować jeden wybrany przez siebie utwór poetycki. Organizatorzy zapewniają, że **„mile widziana będzie prezentacja młodej poezji polskiej z uwzględnieniem poetów łódzkich".**

▲ **„KOTKA NA ROZPALONYM, BLASZANYM DACHU"** Tennessee Williamsa w Teatrze Powszechnym. Reżyserował **Jerzy Hoffmann.** Scenografię przygotował **Olaf Krzysztofek.**

▲ **100 MIEJSC W TEATRZE PRZY UL. TARGOWEJ.** Swoje podwoje otworzył Teatr Szkolny im. L. Schillera przy Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Teatralnej i Telewizyjnej. Zainaugurowano sztuką dyplomową IV roku Wydziału Aktorskiego. Komedię C. Goldoniego reżyserowała **M. Kaniewska.** Teatr Szkolny nawiązał już kontakty z widzewskimi zakładami pracy, pragnąc przede wszystkim służyć społeczeństwu tej dzielnicy.

▲ **MŁODZI NA WSI.** Zarząd Wojewódzki ZMW rozważał na swoim plenarnym posiedzeniu udział młodych w pracach samorządu wiejskiego. Okazuje się, że 64 tys. młodych rolników należy do różnego rodzaju spółdzielni, działających w województwie łódzkim. We władzach tych spółdzielni jest jednak tylko 1 300 młodych. Podobnie sytuacja wygląda w kółkach rolniczych, do których należy przeszło 10 tys. młodych, ale we władzach kółek jest zaledwie 1 200.

Udział młodych rolników w pracach zarządów spółdzielni i kółek jest nie tylko ambicją młodzieży wiejskiej, ale wynika z aktualnej potrzeby. Chodzi bowiem o przygotowywanie następców, uczenie młodych samodzielności w decydowaniu, uczenie odpowiedzialności. I o to powinny przede wszystkim starać się koła ZMW.

▲ **NASZA „FAZENA"** — pod takim tytułem ukazało się specjalne wydanie „Gazety Radomszczańskiej". Jest ono przeznaczone dla załogi „Fazeny" (dawniej Fabryka Maszyn „Radomsko"). Zmiana nazwy fabryki wynikła z przyłączenia jej do Kombinatu Przemysłowego w Stalowej Woli. Skrót „Fazena" pochodzi od pierwszych sylab nowej nazwy przedsiębiorstwa: FAbryka ZEspołów NApędowych, jaką nadano obecnie FM „Radomsko".

▲ **ŚREDNIOWIECZNE ZBROJE** eksponuje Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne w Łodzi. Na wystawie zgromadzono 150 cennych eksponatów, a wśród nich złocony hełm. Wystawę zorganizowano z okazji międzynarodowego seminarium, jakie odbędzie się w Łodzi w ostatnich dniach listopada br.

▲ **POŻAR W ZPDz. „KALINA"** wybuchł przed kilku miesiącami, a jego epilog rozegrał się niedawno na sali rozpraw Sądu Powiatowego dla Polesia w Łodzi, gdzie w czasie rozprawy pracownik **Warszawskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego „Dźwigar"** — Stanisław Kędziorek (zam. w Warszawie przy ul. Chałubińskiego 9) otrzymał 3 lata pozbawienia wolności za niedopełnienie obowiązków. Wyrok jest jeszcze nieprawomocny.

Myślę, że więcej wnikliwych kontroli pozwoliłoby uniknąć i pożarów i wyroków.

M. RODAK

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), KAROL BADZIAK, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), MAREK WAWRZKIEWICZ, JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji)

Ciężki dla Rosji był rok 1918. Na młodą władzę rad runęła rodzima kontrrewolucja wspierana przez obcą interwencję. Początkowo kapitaliści kajzerowskich Niemiec, a później państw Ententy dzielili między siebie zasoby naturalne kraju, zaś wojna domowa dokonywała bezprzykładnych zniszczeń. Kto kogo było jeszcze wielką niewiadomą.

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

POSTAWY LUDZI RADZIECKICH

50 LAT ZSRR

CZ. I. PIERWSZA PIĘCIOLATKA

I oto w tej zdawałoby się beznadziejnej sytuacji **Włodzimierz Lenin** znajdował czas, by z gronem specjalistów omawiać szerokie plany uprzemysłowienia kraju — plany budowy socjalizmu w oparciu o nowoczesną technikę.

Angielski pisarz **Herbert Wells** nazwał Lenina — marzycielem. Lecz w nowej epoce, którą zapoczątkowała Wielka Socjalistyczna Rewolucja Październikowa rzeczy niemożliwe stawały się rzeczywistością, marzenia — realiami codzienności.

Masy ludowe Rosji obroniły swoje państwo. Dawne „więzienie narodów" przekształciły w wielonarodowy związek równoprawnych socjalistycznych republik radzieckich. Lecz socjalizm trzeba było budować i to w jednym kraju w warunkach wrogiego okrążenia, częściowej blokady, utrudniającej rozwiązywanie problemów ekonomicznych.

Jednakże ludzie radzieccy nie bali się trudności. Nie zamierzali zatrzymać się w pochodzie do celu, który nakreślili ci starsi w czasach konspiracji rewolucyjnej, ci młodsi na frontach wojny domowej, ci najmłodsi na ławach już radzieckiej szkoły — chcieli zrealizować socjalizm.

Zagadnienia kierunków rozwoju gospodarki narodowej stały się przedmiotem szerokiej dyskusji przed i na XIV Zjeździe WKP (b) (grudzień 1925). Potrzebę opracowania długofalowego planu przeobrażeń ekonomicznych dostrzegał zarówno aparat kierowniczy, jak i rzesze szeregowych pracowników. Lawina wypowiedzi, czasem naiwnych, ale zawsze dyktowanych poczuciem współodpowiedzialności za losy kraju napływała do redakcji gazet i organizacji partyjnych.

Panowała jednomyślność, jeśli chodzi o potrzebę uprzemysłowienia kraju, natomiast poważne rozbieżności rysowały się przed praktycznym rozwiązywaniem problemu. Ostateczna dyrektywa ułożenia pierwszego pięcioletniego planu rozwoju gospodarki narodowej zapadła na XV Zjeździe WKP (b) w grudniu 1927 r.

W kraju nie mającym ani dostatecznego zaplecza przemysłowego, ani wystarczających kadr wykwalifikowanych pracowników postanowiono realizować gigantyczne budowle przemysłowe, które w efekcie miały przynieść tak istotne spotęgowanie wytwórczości, by w następnych latach można już było rozbudowywać przemysł w oparciu o własne fabryki sprzętu inwestycyjnego i własne kadry specjalistów.

Jednakże rozpoczynając pięciolatkę trzeba było kupować maszyny i licencje za granicą: sprowadzać specjalistów, aby nie tylko montowali park maszynowy, ale i wyszkolili personel fabryczny. Kapitaliści zachodu szli na ustępstwa. Produkcja w krajach wysoko rozwiniętych przeżywała kryzys (1928—1933), każde zamówienie było ważne, zwłaszcza, że chodziło o niemal kompletne wyposażenie dużej ilości dużych obiektów przemysłowych.

Korespondenci zagraniczni zgodnie podkreślali, że po ogłoszeniu planu pięcioletniego cały kraj znalazł się „w stanie wojny". Od Władywostoku po Mińsk i Odessę, od obszarów podbiegunowych, po słoneczne Zakaukazie rozciągał się front budownictwa przemysłowego.

Cały naród z małą korektą na zakamuflowanych wrogów ustroju stanowił armię. Oficerami była dwumilionowa rzesza członków i kandydatów partii, podoficerami — młodzież komsomolska, główną bronią — 53 miliardy rubli kapitału inwestycyjnego, który trzeba było przekształcić w nowe zakłady, kopalnie, miasta.

W okresie wojny z kontrrewolucją i interwencją hasło bojowe brzmiało: **„władza rad w niebezpieczeństwie".** Obecnie na ustach milionów znalazły się słowa „pięciolatkę w cztery lata".

Jak niegdyś szybko rosły ochotnicze szeregi armii czerwonej, tak samo obecnie formowały się ochotnicze brygady dla kluczowych budowli pięciolatki. Ludzie doskonale zdawali sobie sprawę i z ogromu przedsięwzięcia, i z trudności obiektywnych, i konieczności ograniczenia standartu życiowego.

Wyłoniły się trudności z transportem, z kooperacją różnorodnych przedsiębiorstw.

Doniesienia z placów budowlanych w prasie i radio przypominały stylem komunikaty frontowe. Dworce kolejowe przekształciły się w wielkie koczowiska ludzkie z tym, że nie byli to uchodźcy, ale wychodźcy, z miast i wsi, podążające na nieznane tereny, gdzie miały powstać osiedla, fabryki, miasta.

Już po roku okazało się, że zuchwałe plany wyprzedza rzeczywistość. Praktyka przekreślała optymizm planistów, wykazała jak wiele niezauważonych rezerw kryje w sobie radziecka ekonomika.

Profesor **G. Krzyżanowski** tak określi wykonywanie planu na progu drugiego roku pięciolatki: **„Rzeczywistość wyprzedza wyznaczone zadania. Wyprzedza dlatego, że rosną zwarte kolektywy, rosną kwalifikacje robotników, rosną międzybranżowe powiązania... ale przede wszystkim wyprzedza dlatego, że naród uważa plan za swój własny".**

W ciągu czterech lat i 3 miesięcy podjęło pracę przeszło 1500 całkowicie nowych, lub w znacznym stopniu zmodernizowanych fabryk, kopalni, elektrowni i instytutów naukowo-doświadczalnych. W tajdze, na stepach południowo-uralskich, w Kirgizji na Ukrainie i Zakaukaziu wyrosły całkowicie nowe miasta przemysłowe, a szereg dawnych ośrodków administracyjno-rzemieślniczych przekształciło się w ośrodki ciężkiego przemysłu.

Preferowano budowę elektrowni, kopalń, hut, zakładów produkcji maszyn, aparatury precyzyjnej; powstały nowe gałęzie przemysłu, których w ogóle dotychczas nie było (przemysł samochodowy, traktorowy, wytwórnie turbin). Stworzono warunki dla dalszej rozbudowy przemysłu w oparciu o własną produkcję dóbr inwestycyjnych.

A trzeba pamiętać, że realizacja pierwszej pięciolatki przebiegała w okresie kryzysu w rolnictwie w następstwie kolektywizacji, przeprowadzanej w niektórych okręgach przy nacisku organów administracyjnych. Wykonanie planu stało się realne dzięki ofiarności i zwartości wszystkich narodów ZSRR, i stanowiło dla świata kapitalistycznego duże zaskoczenie.

W latach 1928—1932 budowano równocześnie ok. 1.000 obiektów przemysłowych. Lecz „wizytówkami" pięciolatki stały się: **turkmeno-syberyjska kolej** (1500 km), **elektrownia wodna na Dnieprze** (największa elektrownia świata — 2,5 miliarda kilowatogodzin w 1933 r.); **zakłady produkcji traktorów w Stalingradzie i Czelabińsku** oraz **bliźniacze kombinaty metalurgiczne w Magnitogorsku i Kuźniecku.** Dwie ostatnie budowle powstawały w wyjątkowo trudnych warunkach naturalnych — Magnitogorsk w głębi stepu, Kuźnieck trzeba było wydrzeć tajdze. Oba obecne giganty metalurgiczne stanowią jakże przekonywające zwycięstwo woli, myśli i wysiłku człowieka nad surową przyrodą.

W 1929 r. na próżno było szukać na mapach sztabowych ZSRR osady Magnitogorsk. Jak świadczy tradycja podróżni omijali w stepach uralskich Górę Magnesową (Magnitnaja Góra), gdzie zawodził kompas, a wyregulowanie zegarka wystarczało tylko na parę godzin. Owa góra, zdaniem geologów, zawierała 275 milionów ton 62-procentowej rudy żelaza magnetycznego. Największe ówcześnie znane złoże świata.

Pierwsze prace przy budowie przyszłej największej stalowni świata rozpoczęto od rozbicia namiotów, wzniesienia baraków, rycia ziemianek. Równocześnie rzekę Ural ujmowano tamą długości przeszło 1000 metrów. Roboty przebiegały tak szybko i sprawnie, że amerykański inżynier J. Clarks po roku oświadczył, że nigdzie na świecie tama nie mogłaby być wykonana szybciej i lepiej, chociaż jakże często niedostateczną ilość maszyn trzeba było wyrównywać wysiłkiem mięśni.

Pomimo ciężkich warunków klimatycznych i bytowych stabilność załogi była imponująca, a robotnicy po odpracowaniu „zmiany" uzupełniali swe wiadomości na dziesiątkach kursów i zaimprowizowanych szkołach.

Brygady robotników niewykwalifikowanych w miarę upływu czasu stawały się brygadami montażowymi, by z kolei przekwalifikować się na brygady hutnicze.

1 lutego 1932 r. uruchomiono pierwszy wielki piec Magnitogorska; w trzy lata później, a więc w niespełna sześć lat od rozpoczęcia budowy, była to już największa stalownia świata. A przecież w wielokrotnie łatwiejszych warunkach ośrodek stalowy Gary w stanie Indiana (USA) wytwarzający 3.400.000 ton stali budowano 12 lat.

W równie trudnych warunkach przebiegała budowa Kuznieckiego kombinatu. Trzeba tam było wydzierać tajdze każdy metr kwadratowy ziemi. Surowa ziemia nie przerywała pracy. Gdy nie nadszedł na czas potrzebny sprzęt i materiały, robotnicy szli do innych robót. Wzmacniali brygady zatrudnionych przy budowie mieszkań dla załogi, domów dla celów administracyjnych itd.

Pierwsza pięciolatka realizowała nie tylko cele ekonomiczne. Realizowała ona także braterską współpracę narodów ZSRR, ogniskując ich wysiłki wokół wspólnego celu.

W. Lenin wielokrotnie akcentował, że w warunkach dyktatury proletariatu będzie realizowana faktyczna równość narodów poprzez gospodarcze i kulturalne podniesienie poziomu narodów opóźnionych do poziomu narodów niegdyś uprzywilejowanych.

W latach 1928—1932 nastąpiło wyraźne rozśrodkowanie przemysłu. Giganty przemysłowe wyrosły w całkowicie nowo wybudowanych ośrodkach na Syberii, w środkowej Azji, na Zakaukaziu, likwidowano pośpiesznie zacofanie obszarów peryferyjnych, podnosząc ich rangę ekonomiczną i kulturalną.

Dziś z prespektywy lat i późniejszych osiągnięć zatarły się kontury pierwszej pięciolatki. Magnitogorsk liczy przeszło 400.000 mieszkańców; prace na nowych budowlach zostały zmechanizowane. Nowoczesna technika zarówno w zakładach produkcyjnych, jak i w prywatnym domu ułatwia życie.

Zrywając dojrzały owoc, nie myślimy o tym, jak długo musiało rosnąć drzewo.

I właśnie dlatego trzeba przypomnieć o tej bezimiennej armii bohaterów pracy, która wysiłkiem mięśni, kosztem ograniczeń na co dzień wznosiła w latach 1928—1932 fundament gospodarczego dziś ZSRR.

Listy do Redakcji

KOCHAJMY CZYSTOŚĆ!

Przed kilku dniami — będąc przejazdem w Łodzi — poszedłem na kolację do baru szybkiej obsługi, do „Balatonu". Chciałem zjeść coś ciepłego. Wyboru wielkiego nie było: smażona ryba i kotlet z drobiu (!?). Dla głodnego — dobre i to. Kolejki też nie było. Przede mną cztery osoby czekały na świeże ziemniaczki. I nagle wszyscy ujrzeliśmy pięknego karalucha, który wydostał się gdzieś z kuchennych zakamarków i zaczął radośnie spacerować pod ciepłymi promieniami lamp ogrzewających ladę. Tylko wielki głód spowodował, że nie zrezygnowałem z dalszych usług „Balatonu" i zmusiłem się do zjedzenia kotletu z drobiu. Poza tym śpieszyłem się na powrotny pociąg i nie miałem zbyt wiele czasu na zmianę lokalu.

Nie zawracałbym nikomu głowy jednym karaluchem, spacerującym nawet po ladzie największego baru w mieście, gdyby był to jedyny karaluch łódzkiej gastronomii. Niestety, karaluchy i brud można spotkać również w innych lokalach, które z racji tego, że mają żywić ludzi powinny być czyste. Myślę, że „Sanepid" powinien wnikliwiej zainteresować się czystością lokali gastronomicznych. Częstsze kontrole bardzo się im przydadzą.

JULIAN WOJANOWSKI
Zduńska Wola

* * *

POTRZEBA WIĘCEJ PÓŁETATÓW

W związku z przyznaniem Łodzi sumy przeszło trzydziestu miliardów na rozbudowę i modernizację uważam, że paląca koniecznością jest budowa w naszym mieście nowych zakładów pracy dla inwalidów z możliwością pracy na pół etatu. Sytuacja bowiem na rynku pracy dla inwalidów jest bardzo trudna. Są w Łodzi inwalidzi, którzy żyją z renty i mają nie rzadko dzieci na utrzymaniu, którzy chcieliby dorobić sobie te kilka złotych na pół etatu. Ilość stanowisk pracy w istniejących zakładach pracy dla inwalidów jest przysłowiową kroplą w morzu w stosunku do potrzeb. A półetaty w normalnych zakładach pracy prawie że nie istnieją.

MIROSŁAW PONIECKI

SPROSTOWANIE

Wiersz Giennadija Seriebriakowa pt. „Łabędzie", zamieszczony na kolumnie: Wiersze poetów Kraju Rad, w 47 numerze „Odgłosów", tłumaczył Wasyl Koeznow.

W tym samym numerze w „Liście do Czytelników", zamiast: „zagranicznego repertuaru", powinno być: „zagranicznego reportażu".

Przepraszamy Czytelników i autorów.

Moskiewska mozaika

JERZY WILMAŃSKI

Napisać, że Moskwa jest miastem fascynującym? Banalne to i przecież absolutnie nic nie mówi. Nie mówi nic tym, którzy Moskwę znają z setek reportażowych migawek, nie mówi nic tym, którzy ją znają z okien autokaru „Inturistu".

Kiedy przed laty stanąłem pierwszy raz u stóp hotelu „Leningrad", na wysokiej estakadzie przy Placu Komsomolskim patrzyłem długo na tę mozaikę architektury na przemian zdumiony, rozbawiony, zafascynowany... Na prawo Dworzec Kazański z czerwonego piaskowca, zbudowany w roku 1911. Na lewo wytworna sylwetka z białego kamienia — Dworzec Leningradzki, zbudowany w połowie XIX wieku. Dalej Dworzec Jarosławski — przysadzista sylweta z wieżyczkami, niby pałac z bajki, zbudowany w roku 1905... Pomiędzy nimi stacja metra z lat chyba trzydziestych z obowiązkowymi wówczas greckimi kolumnami, naprzeciw stacja metra w stylu nowszym, obok okrągły, niby barbakan, masyw sali koncertowej... Dalej koszarowe bloki mieszkalne z czerwonej cegły.

A jeśli minie się kolumny stacji metra i wjedzie schodami w dół, otworzy się przed nami bizantyjski przepych stacji „Komsomolskaja". Mozaiki, złocenia, pałacowe wnętrze... Lata bodaj trzydzieste. W podziemiach stacji przy Placu Rewolucji — inaczej. Tu stanęło 80 (słownie osiemdziesiąt) rzeźb, zaklęta w brąz legenda Rewolucji.

Wiele lat zachwycano się tą orgią fasady — potem trochę ją krytykowano. Dziś buduje się podziemne dworce metra prosto, funkcjonalnie. Ale „Komsomolskaja" pozostanie symbolem i świadectwem swojego czasu. Jest więc Plac Komsomolski urokliwą mozaiką stylów ponad stu lat rosyjskiej architektury. Wiek dziewiętnasty i wiek dwudziesty. I nawet te pomyłki estetyki lat trzydziestych mają swój smak i niecodzienny urok.

Wszystko to razem na jednym placu, nad którym góruje wieżowiec w stylu warszawskiego Pałacu Kultury.

Jechałem kiedyś Sadowym Kolcem z radzieckim poetą, Aleksandrem Nikołajewem. Mijaliśmy akurat kolejny „Pałac Kultury" i przypomniałem sobie, że gdzieś czytałem, iż Moskwa ma z owego okresu stalinowskiej architektury aż 17 takich wieżowców. Powiedziałem o tym Nikołajewowi. Zaczął liczyć:

— Hotel „Leningrad", hotel „Ukraina", wieżowiec mieszkalny przy Sadowym, Uniwersytet...".

Doliczył się siedmiu.

— Wsio normalno — rzekł żurnaliczeskoje prieuwieliczenie" (dziennikarska przesada).

Ale ta siódemka nie jest chyba przypadkowa. Moskwa leży na siedmiu wzgórzach. Dlatego też spacery po Moskwie wymagają dużej kondycji. Z połowy prospektu Kalinina widać hotel „Ukraina". Prawie na dotknięcie ręki — ale trzeba iść i iść kilometry — przejść rzekę, minąć gmach RWPG (tę słynną „otwartą księgę" z betonu i aluminium), aby dojść... Zupełnie jak w górach — odległości oceniane wzrokiem są zawodne.

Wróćmy jednak do mozaiki architektonicznej. Wspomniany prospekt Kalinina zapiera dech w piersiach. Oto w centrum starej Moskwy zbudowano kawałek miasta XXI wieku. Strzeliste gmachy ministerstw, dwukondygnacyjne ciągi handlowe, podziemne przejścia i garaże... Jeden wylot prospektu zamyka masyw Kremla, drugi — gmach RWPG.

Być może to przypadek — nie wierzę, aby jakiś poeta planował urbanistykę tej wspaniałej arterii. A jednak jest tu poetycki symbol. Stojąc pośrodku prospektu widzimy Kreml i gmach RWPG. Symbol Rosji starej, historycznej i symbol Rosji dzisiejszej.

Ze wzruszeniem czytałem o pierwszych moskiewskich wrażeniach Jerzego Putramenta w jego drugim tomie „Pół wieku". Są tak podobne do moich — choć w tak różnym czasie oglądaliśmy po raz pierwszy Moskwę. Ale architektura przecież ta sama. Empire Manežu i Teatru Wielkiego, koszmarny dekadentyzm hotelu „Metropol", pseudorosyjski styl Muzeum Rewolucji i obok cudowny kremlowski zespół — też nieprawdopodobnie różnorodny — od cerkiewek po Pałac Zjazdów. Podobne zaskoczenia są wszędzie. Na Placu Komuny Centralny Teatr Wojskowy, zbudowany w latach 1934—40 w kształcie gwiazdy. Obok na Instytuckim Pierełuku nowoczesny gmach Muzeum Wojska. Fasadowa architektura lat trzydziestych w symbiozie z oszczędną linią nowego gmachu.

Odnotujmy jednak wrażenia pisarza:

„Najpierw giganty w stylu prawie kubistycznym, w rodzaju „Domu Rządowego". Szara, ciemna masa korpusów. Kino — też taki sześcian. Most przez rzekę Moskwę. Dokładnie na drugim brzegu, naprzeciw „Rządowca" rusztowania. Tu ma stanąć Pałac Rad, z gigantycznym posągiem Lenina na szczycie.

Dodajmy od razu: nie stanął, rozmyślono się. Otoczenie bardzo zwyczajne: ceglane, kilkupiętrowe kamieniczki, pomalowane na żółto.

Tego „prawie kubizmu" w Moskwie niedużo. Gdzie indziej dwa domy według Le Corbusier. Brzydkie. Czy że z wczesnej jego epoki, czy że otoczenie nie dopasowane, dość, że wszystkie te pamiątki (bo jeszcze nie zabytki) kubizmu czy konstruktywizmu dziwnie nie przekonują. Niemal się rozumie, dlaczego porzucono te szare kwadraty i zabrano się do następnej przesady: pseudoempiru ulicy Gorkiego. Dlaczego pseudoempire? Bo dużo prawdziwego. To najpiękniejsze partie ówczesnej Moskwy. Błąkasz się zaułkami, pełnymi starych drewniaków i nader prowincjonalnych kamieniczek, gdy nagle krata i trzydzieści metrów w głębi empirowy pałacyk piętrowy pośrodku, z dwiema parterowymi oficynami, wybiegającymi aż do ulicy.

W takim właśnie pałacyku czy raczej dworku mieści się Związek Pisarzy Radzieckich. Jego dawni właściciele zwali się hrabiowie Sołłohubowie. Ten to dom stał się pierwowzorem pałacu Rostowych z „Wojny i pokoju". Obok inny hrabiowski budynek, ale bez stylu: dawny dom Alsufiewów, w którym się mieściła loża masońska. Teraz tu Klub Pisarzy, sala zebrań, biblioteka, stołówka".

Właśnie w owej stołówce zobaczyłem kiedyś głośnego poetę młodego pokolenia. Nie jestem fizjonomistą, ale coś mi się nie podobało w jego zarozumiałej urodzie, w jego gestach i pozach. A mam w Rosji przyjaciela — poetę, starszego zresztą pokolenia, który nawet zawadził o Polskę w swoim szlaku bojowym. Powiedziałem mu o tym spotkaniu i o tym moim wrażeniu...

Wołodia pokiwał głową i rzekł:

— To zdolny poeta, na pewno. Znam go dobrze i właściwie nie mam nic przeciwko niemu, ale... widzisz, na froncie, w okopie, nie chciałbym go mieć za towarzysza...

Zastanawia mnie, że nieraz słyszałem właśnie taką odpowiedź, gdy chodziło o zaznaczenie jakiejś nieuchwytnej mgiełki nieufności. „Na froncie, w okopie" — czyli w sytuacji ostatecznej, gdy nie ma czasu i miejsca na niuanse i wątpliwości, gdy człowiek się sprawdza, albo nie sprawdza i jest to fakt nieodwracalny.

Rosjanie często używają tego przykładu i często też mówią, że Polak jest dobrym towarzyszem broni. A mówią to nie z konwencjonalnej grzeczności. Nie ma bowiem radzieckiego żołnierza lat Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, który by się z Polakami nie zetknął w okopach i w boju. Ale ta kombatancka ocena nie dotyczy chyba tylko wojny. Oni po prostu surowe, frontowe kryteria stosują w ocenie dziś. Tak jak Wołodia ocenił głośnego i krzykliwego autora „Objętnicy".

Te współczesne miary i hasła „frontowe" pobrzmiewają patosem, ale jest to patos szlachetny i nie ma w nim pustej tromtadracji. Ten ich współczesny front — znaczy rozmach. Młodzi ludzie jadący budować nowe fabryki i miasta na dalekim wschodzie stawiają na pustym stepie tablice z trzema podstawowymi „zadaniami do wykonania". Po przyjeździe — pierwsza rzecz: zjeść śniadanie, druga rzecz — postawić namioty, trzecia rzecz — zbudować miasto...

I budują te miasta.

I budują Moskwę. Z rozmachem, energicznie — w mozaikę miasta wmontowują elementy z betonu i aluminium. W początku ulicy Gorkiego, nieopodal Manežu, widziałem w roku 1965 taką scenę. Dwupiętrowa kamienica o zdrowych, solidnych murach dygotała plując czerwonym kurzem. Obok stał potężny dźwig, unoszący na łańcuchach ogromną żelazną kulę. Podciągano ją i z rozmachem puszczano na frontową ścianę domu. Po dwu dniach buldożery spychały gruz, ładowano go na wywrotki... Dziś stoi tu ogromny hotel „Inturist", próbowałem policzyć piętra, ale po dwudziestu zmylił mi się rachunek.

Więc znów spacer w górę Gorkiego aż do gmachu „Izwiestii" — tam, gdzie naprzeciw Placu Puszkina jest taka stara, zwykła „stołowaja" — jadłodajnia wielce sympatyczna i bardzo tania, którą mi ktoś kiedyś polecił, gdy jadąc do Iwanowa, rozporządzałem zaledwie ośmioma rublami podróżnej diety. Bez względu na stan finansów staram się zawsze tam zaglądać, żal by mi było, gdyby kiedyś uderzono w ten parterowy domek ciosem metalowej kuli. Ale to stać się musi, bo właśnie stąd — od Placu Puszkina biegnie ulica stareńkich domków, kończąc się przy Prospekcie Kalinina i wiem, że kiedyś powstanie tu arteria, łącząca Moskwę nowoczesną ze starą Moskwą ulicy Gorkiego.

Na Sadowym Kolcu wielkie gmaszyska i raptem przyklejony do jednego z nich mały domek z ubiegłej epoki. Czemu pozostał, co za wartość przedstawia ta murowana chatynka zbudowana w czasie, gdy Sadowe było rzeczywiście zielonym bulwarem? Drzwi od ulicy, tabliczka z nazwiskiem. Podchodzę czytam: „Antoni Czechow — lekarz". Rozumiem, ten dom jest pomnikiem.

Więc z powrotem Sadowym do Placu Majakowskiego, do hotelu „Pekin", gdzie kelnerka reklamuje z przymrużeniem oka jakieś kolorowe chińskie sałatki: „Paprobujcie — za kitajsku drużbu...".

Ile już znam tych hoteli? „Metropol" — zimny i nieprzyjemny, „Buchariest", który właśnie otrzymał nową nazwę i wszyscy taksówkarze mówili wówczas „Buchariest — znaczyt Bałczug", „Jarosławskij" — właściwie osiedle hotelowe — daleko na przedmieściu, za ostatnią stacją metra przy Wystawie Osiągnięć, „Rosija" obok Placu Czerwonego, kolos z betonu otoczony maleńkimi cerkiewkami, „Pekin" z chińską kuchnią...

Moskwa fascynuje. Przestrzeń i ruch, wielkie gmachy i szerokie ulice — i raptem skręt w lewo czy prawo i wąska uliczka, domki z rzeźbionymi okiennicami, jakaś otwarta cerkiewka, cisza, spokój... Staruszek z białą brodą na krzesełku przed domem... A trzydzieści metrów pod nim pędzą pociągi metra. A nad gontami drewnianej dachówki pobłyskuje z daleka srebrzysta kula wieży telewizyjnej w Ostankino.

„Wielka wieś" — mówią o Moskwie jej mieszkańcy. Wielka — rzeczywiście. Czterdzieści tysięcy hektarów, siedem milionów mieszkańców („Osiem — poprawia mnie przyjaciel — na milion oblicza się przybyszów"), czwarte miejsce po Tokio, Nowym Jorku i Szanghaju... Ale Moskwa nie jest jedna. Jest ich wiele. W każdym zaułku, na każdym placu, stacji metra, dworcu — odnajduję Moskwę trochę inną, z różnych lat i epok. Moskwa jest mozaiką. Wielka mozaika, chyba tak można ją określić.

Rubinowe gwiazdy Kremla i czerń tablicy w kremlowskim murze. Napis: John Reed — Amerykanin, żołnierz Rewolucji, autor książki „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem". Czerwień marmuru Mauzoleum Lenina i zieleń mundurów warty. Rzeźbiona okiennica domku i aluminiowa ściana hotelu. Gruzin w wyszywanej czapeczce i Kazach w futrzanej czapie. Zgiełk i cisza. Cerkiewka z mamrocącą staruszką i cerkiewka z wystawą filatelistyczną. Metro i tramwaj, dzień dzisiejszy i dzień wczorajszy. I jutro. Te miejsca w mozaice, w które wbuduje się dni następne.

Wielka mozaika. Moskwa — lustro, w którym odbija się wielka, różnorodna Rosja lat siedemdziesiątych.

BEZ PASZPORTU

Coraz częściej na półki księgarskie wchodzą książki — pamiętniki, książki — relacje, książki — wspomnienia, tyczące się czasów ostatniej wojny. Piszą je uczestnicy walk pod Lenino i pod Narwikiem, pod Tobrukiem i Monte Cassino. Żołnierze, którzy z karabinem w ręku szli na pomoc swojej ojczyźnie. Fascynujące są często te wspomnienia i relacje, bowiem tyczą się tych spraw, które dla nikogo w tym kraju nie są obojętne, spraw, które są wciąż żywe i poprzez swój ponadczasowy tragizm — wciąż aktualne. Rzadko jednak w owej literaturze pamiętnikarsko-wspomnieniowej spotykamy się z relacjami zwykłych cywilów, uchodźców rzuconych w obce kraje, w obce społeczeństwa, globtrotterów nie z własnej ochoty. A przecież losy tych ludzi, losy całych rodzin, często tragiczne, pełne dramatycznych przejść, są również częścią historii.

Dlatego warto chyba zwrócić uwagę na tom wspomnień Haliny Wardell, adwokatki warszawskiej, która z mężem i córeczką opuściła bombardowaną Warszawę we wrześniu 1939 roku i przez Rumunię, Włochy i Francję przedostała się do Anglii. Te wspomnienia to nie tylko dzieje wojennej tułaczki, to również podpatrzony bystrym i wyczulonym okiem „obcego" szkic obyczajowy, obyczajowa mozaika angielskiego społeczeństwa z czasów wojny. Społeczeństwa hermetycznego, które z trudem, a nieraz wręcz niechętnie przyjmowało przybyszów z „jakiejś tam Polski" na przykład. W toku potoczystej i żywej narracji prześledzić można między innymi ewolucję stosunku Brytyjczyków do Polaków. Na zmianę tego stosunku wpłynęła niewątpliwie postawa Polaków, biorących udział w walce o Anglię — lotników i marynarzy. W tekście książki znajdujemy takie słowa wypowiedziane przez jednego z uchodźców: „Teraz jesteśmy bardzo modni, korzystają z naszych doświadczeń, ale uprzednio nie chcieli nas słuchać, nie wierzyli nam i traktowali poniżej godności. Obecnie, gdy Polacy bronią i pewno obronią Imperium — cenią nas, chwalą, chwilowo przyznają różne przywileje i powierzają dowództwa. Nawet król Jerzy VI z małżonką złożyli wizytę naszym dywizjonom, pozwolono na noszenie szpilki złotej lub srebrnej, w zależności od stopnia wojskowego. Polak był tym, który pierwszy strącił samolot nad Wielką Brytanią i Polak pierwszy również zginął w bitwie o Londyn. Powierzają im najtrudniejsze zadania, a oni rzucają się z radością w wir walki. Znajomość z Polakiem jest obecnie zaszczytem dla Brytyjczyka".

Książka Haliny Wardell jest ponadto niezwykle ciekawym studium kobiecej indywidualności, ukazanej w sytuacji zagrożenia.

A.G.

Halina Wardell „Bez paszportu i dewiz", Czytelnik 1972, cena zł 33.—

WSZYSTKO O RZYMIE

Książkę Jana Gawrońskiego kupiłem, pamiętając jego znakomite wspomnienia z czasów służby dyplomatycznej. Myślałem, że będzie to lektura w rodzaju „Dyplomatycznych wagarów", czy „Misji w Wiedniu", a może włoskie opowieści z czasów II wojny światowej. Jak wiadomo Gawroński dosłużył się tam stopnia majora komandosów...

Okazało się — nic z tych rzeczy. „Drogi prowadzą do Rzymu" są bowiem opowieścią o Italii i miłości autora do niej. I znów — okazało się, że jest to lektura pasjonująca. Książek o włoskiej kulturze, włoskiej historii i związkach z Polską mieliśmy co niemiara. Niektóre były naprawdę wysokiej próby — „Nowele włoskie" Iwaszkiewicza, „Smutna Wenecja" Kubackiego, „Spotkania włoskie" Brandysa, że wymienię na chybił trafił. Ale dla Gawrońskiego Włochy to nie tylko fascynacja krajem i kulturą. Dla Gawrońskiego Włochy są naprawdę drugą ojczyzną i tylko taka sytuacja psychiczna może zrodzić książkę, która od innych odbiega daleko. Jan Gawroński, polski pisarz i filozof nie pisze z pozycji p r z y j a c i e l a, lecz z pozycji o b y w a t e l a Włoch. Z takiej pozycji widzi się ostrzej i ocenia wnikliwiej.

A poza tym — i to jest walor dla czytelnika tej książki może najistotniejszy — Jan Gawroński opowiedział nam o Rzymie w s z y s t k o. Walor informacyjny, chciałoby się rzec „bedekerowy", tej książki jest tak oczywisty i niewątpliwy, że predestynuje on „Drogi..." do wydania w jakiejś masowej, kieszonkowej serii. Książka Gawrońskiego powinna stać się „lekturą obowiązkową" dla wszystkich, którzy za swoje sakramentalne 100 dolarów wybierają się do Włoch. A tych — w bieżącym roku tylko — było dużo więcej niż 10 tysięcy.

J. W.

Jan Gawroński „Drogi prowadzą do Rzymu", Wyd. PAX, 1972.

JESZCZE MIŁOŚĆ

W Instytucie Wydawniczym CRZZ, w serii Biblioteka Laureatów CRZZ ukazało się III wydanie powieści Bogusława Koguta „Jeszcze miłość".

B. Kogut jest pisarzem z pokaźnym dorobkiem (wydał od czasu debiutu w roku 1945 — 23 książki, w tym 10 powieści), zdobył szeroką popularność wśród czytelników i wiele nagród m. in. Nagrodę Min. Kultury, Nagrodę MON i CRZZ. Jest również człowiekiem o ciekawej biografii. Podczas wojny walczył w BCH, przez kilka lat redagował „Tygodnik Zachodni", był posłem na Sejm. Wspominam o kilku faktach z biografii Koguta, bo w wypadku jego pisarstwa są one organicznie związane z wyborem problemów, obszarów tematycznych, punktów odniesienia i interpretacji naszej najnowszej historii. Taki właśnie życiorys i pasja działacza politycznego w udany sposób zostały zdyskontowane w ostatniej powieści, powstałej w latach 58—66.

Bohaterem książki jest Adam Borecki, oficer I Armii osiadły po wojnie w jednym z miast na ziemiach zachodnich. Koleje jego losu są jakże w pewnym sensie, typowe: dyrektor odgruzowanej przez siebie fabryki papy, następnie zdegradowany do roli kioskarza, po 56 zrehabilitowany i ponownie włączony do aktywnej działalności społeczno-gospodarczej. Cezurą w życiorysie bohatera, jego rodziny, bliskich, jak również ideowych przeciwników, jest dramatyczny rok. 56. Dodajmy jeszcze, że autor jako bezpośredni świadek wydarzeń w Podstolicy, nie zmarnował szansy, rysując w sposób niemal dokumentarny dramat tamtych trudnych dni. W sumie, a książka jest obszerna i wielowątkowa, otrzymaliśmy dzieło naprawdę współczesne, artystycznie udane i uczciwie przedstawiające losy Polaków w ostatnim ćwierćwieczu. Jak najsłuszniej ukazało się już III-cie wydanie tej powieści: książek takich jak „Jeszcze miłość" Bogusława Koguta nie mamy za wiele. Książek trudnych, pisanych krwią najserdeczniejszą, a więc w sumie — optymistycznych. I chyba właściwie odczytuje intencje autora obwoluty K. Mackiewicza — popiersie na kolumnie korynckiej — że symbole przemijają lub rozsypują się w gruzy, lecz słuszna idea pozostaje wartością niezniszczalną.

(Jar)

Bogusław Kogut, Jeszcze miłość, Instyt. Wyd. CRZZ 1972 r., str. 428, cena 20 zł.

Dalszy ciąg ze str. 1

kiego", który już w jesieni 1966 roku wystąpił z ważkim cyklem publikacji na temat stanu współczesnej literatury polskiej. A były to przecież czasy, gdy rozpowszechnionemu u nas zjawisku „małego realizmu" towarzyszyła przystosowująca się do niego „mała krytyka": recenzje, noty, przygodne omówienia. I chociaż niektóre artykuły „Miesięcznika" mają charakter nazbyt interwencyjny, bo zrodziły się pod presją wydarzeń pozaartystycznych, to przecież niosą w sobie świadomość zwiększonej odpowiedzialności za stan sztuki współczesnej w Polsce, są głosem krytyki zaangażowanej i atakują najtrudniejsze problemy naszej rzeczywistości literackiej z p o z y c j i m a r k s i s t o w s k i c h.

Nie przypadkowo zwracam na to uwagę, gdy na łamach „Odgłosów" (nr 45 z 5 listopada br.) rozgorzał spór o **„marksistowskie narzędzia badania dzieła artystycznego"**. Celowo zresztą zawężam zakres polemiki pomiędzy **Andrzejem Hamplem i Bogumiłem Maciejewskim** do jednego tylko zagadnienia, bo wydaje mi się ono istotniejsze niż akademicki spór na temat tego, czy krytyk jest wrogiem twórcy czy też jego sprzymierzeńcem. A chociaż nie podzielam pesymistycznego przekonania Maciejewskiego, że w Łodzi **„nie ma autentycznej krytyki artystycznej"**, to zgadzam się całkowicie, że słabością gazetowych zwłaszcza ocen jest brak kryteriów ideowych. **„Do tego** — stwierdza B. Maciejewski — **potrzeba przecież już nie deklaracji, ale samookreślenia się recenzenta. Jeśli występuje z marksistowskich pozycji, jeśli posługuje się marksizmem, który pozwala mu budować kryteria, to sam musi najpierw ten marksizm poznać i określić do niego stosunek".**

Chociaż przytoczony tu pogląd nie jest nowy, trudno odmówić mu precyzji. Toteż zgoła niezrozumiały wydał mi się gniew **Henryka Pawlaka**, który na łamach „Głosu Robotniczego" z 4 listopada br. (nie ma tu pomyłki, gdyż „Odgłosy" ukazują się w czwartki z datą niedzielną) wystąpił „Krytycznie o krytyce krytyki".

Abym nie został posądzony o stronniczość muszę od razu zaznaczyć, że cenię **Henryka Pawlaka** jako teatrologa obdarzonego taktem i instynktem. W jego ocenach zjawisk scenicznych rzadko zdarzają się sądy nietrafne czy niesprawiedliwe. Jeżeli rolą literatury jest stawiać najistotniejsze pytania epoki, to ambitny krytyk powinien stawiać najistotniejsze pytania twórcy dzieła. I trzeba przyznać, że Henryk Pawlak je stawia. **„Muszę szczerze przyznać** — pisze w „G. R." z 10 października br. omawiając „Geniusz i szaleństwo" Dumasa i Sartre'a **— że Teatr im. Stefana Jaracza osiągnął w przedstawieniu tej sztuki sukces raczej połowiczny. Publiczność reaguje niezwykle żywo, wychodzi z teatru na pewno zadowolona, dostała porcję silnych wrażeń. I jak tu pisać sprawozdawcy o artystycznych niedostatkach spektaklu?".**

Jednym z niedostatków krytyki artystycznej w naszym kraju jest jej dwulicowość. Zwracał na to uwagę A. Hampel, zwracał też uwagę B. Maciejewski, ale trzeba od razu stwierdzić, że Henryk Pawlak znajduje się poza wszelkimi podejrzeniami. Jest krytykiem szczerym i bezpośrednim. Omawiając inscenizację „Wygnańców" Joyce'a w Teatrze Nowym („G. R." z 3 października br.) wyznaje na samym wstępie: **„Autor sławnej powieści „Ulisses" jest w dziejach literatury naszego wieku postacią zupełnie wyjątkową. Trudno w sprawozdaniu teatralnym powiedzieć o nim coś nowego, zresztą spór o sens jego dzieła i nowatorstwo formy ciągle jeszcze trwa".**

A przecież recenzent mniej bezpośredni udawałby, że rozumie Joyce'a i zapewne spróbowałby powiedzieć o nim coś nowego, z oczywistą szkodą dla czytelników gazety.

Nie są to jedyne zasługi Henryka Pawlaka dla teatru w jednym tylko październiku br. Pamiętając o postulacie Irzykowskiego, że krytyka powinna wystąpić z ukrycia i objąć funkcję poezji, gdy **„poezja przestaje spełniać swoją misję, gdy zrobi się fałszywą i bezduszną"**, omawiając sceniczną adaptację „Poematu otwartego" Różewicza („G. R." z 24 października br.) zauważył metaforycznie: **„Ilekroć wiersz, dzieło szczelnie zamknięte swą formą, ktoś usiłuje rozdzielić na części, rozpisać na głosy, tylekroć ogarnia mnie przerażenie. To tak, jakby ktoś otwierał muszlę spodziewając się, że wyłowi perłę, a wypływa z niej trochę bezkształtnego śluzu".**

Myślę, że przykładów tych wystarczy dla przekonania czytelnika, że cenię sobie wysoko działalność krytyczną Henryka Pawlaka. Widzę teraz, że niepotrzebnie w pierwszej chwili zdziwił mnie jego gniew na publikację B. Maciejewskiego w „Odgłosach" i poddaję się bez walki, zwłaszcza, że całkowicie zgadzam się ze stwierdzeniem „Głosu Robotniczego": **„Jeśli dobrze znam życie, to chętnych do samookreślenia się nigdy nam nie brakowało. Brakowało nam raczej, i jeszcze dzisiaj czasem brakuje, ludzi znających się na rzeczy".**

Należę zresztą do nich, toteż proszę czytelników pokornie o wybaczenie, jeśli sądy, które tu zaprezentuję będą nazbyt uproszczone. Zwłaszcza, że nie mogę ich korygować, gdyż tym razem dyskusja o stanie krytyki ma zakres wyłącznie łódzki i nie przeniosła się do „Odgłosów" z prasy warszawskiej.

Chociaż, jak już wspomniałem, podzielam pogląd B. Maciejewskiego o potrzebie analizy zjawisk artystycznych z pozycji marksistowskich, myślę, że pretensje o niedostatek takich interpretacji trzeba skierować przede wszystkim pod adresem nauki. **Antonina Kłoskowska**, wybitny socjolog kultury, przedstawiając na sesji naukowej Uniwersytetu Łódzkiego z okazji setnej rocznicy ukazania się I tomu „Kapitału" stan badań nad koncepcją kultury w ujęciu Karola Marksa, zwracała uwagę, że mimo wkładu kilku pokoleń **„wiele pytań zawartych we fragmentach poświęconych przez Marksa zagadnieniom kultury pozostaje nie rozstrzygniętych".** A fragmentaryczność ta nie oznacza wcale, że chodzi tu o sprawy nieistotne. **„Należy do nich** — stwierdza prof. Kłoskowska — **problem uniwersalnego, w ramach gatunku ludzkiego, waloru pewnych wartości estetycznych, intelektualnych, moralnych, czy też ich charakteru historycznego, jakkolwiek rozciągającego się na wiele formacji".**

Toteż słabość łódzkiej krytyki artystycznej pod tym względem jest pochodną sytuacji ogólniejszej, daleko wykraczającej poza problematykę lokalną. Dostrzeżono to także poza granicami naszego kraju i nie jest chyba przypadkiem, że w Związku Radzieckim powstanie w najbliższym czasie miesięcznik poświęcony wyłącznie zagadnieniom krytyki artystycznej. Bowiem mimo marksistowskiej aparatury filozoficznej i metodologicznej, krytyka startująca z tych pozycji, nie wypracowała jeszcze precyzyjnego systemu kryteriów i narzędzi badawczych. Nic też dziwnego, że nawet tak dojrzały i bezkompromisowy teoretyk literatury jak **Artur Sandauer** stwierdza, że uprawia krytykę wieloaspektową. **„Jak człowiek** — zauważa on we wstępie do swej „Liryki i logiki" — **który chcąc dotrzeć do ukrytego w głębi puszczy posągu, wyrębuje w niej szereg koncentrycznych ścieżek, by przekonać się wreszcie, że otoczony jest on ze wszech stron nieprzebytą przepaścią, tak krytyk dociera, uciekając się do pomocy rozmaitych dyscyplin, do prawdy o dziele — prawdy nie tyle niewyrażalnej, co — wielowyrażalnej".**

Są to oczywiście uwagi zrobione nieco na wyrost, gdyż zgodziłbym się z Andrzejem Hamplem, że w Łodzi niewiele jest miejsc gdzie można uprawiać ambitną krytykę artystyczną. Ambitną — to znaczy manifestującą swoją obecność w sporach ideowych, które rozstrzygają o socjalistycznym kształcie naszego kraju i jego kultury. Ambitną — to znaczy nie cofającą się przed analizą zjawisk kontrowersyjnych, nowych, spornych. **„Krytyk** — dowodził Stanisław Baczyński — **za każdym razem musi stwarzać kryteria nowe, bez powoływania się na autorytety przeszłości o ile chce być krytykiem żywym. Musi być podwójnie twórczy: stwarzać nie tylko styl czasu, ale miarę i sprawdziany tego stylu o znaczeniu p o w s z e c h n y m".**

Ale choć miejsc do uprawiania tak pojętej krytyki artystycznej nie jest zbyt wiele w Łodzi, nie mogę się zgodzić z Henrykiem Pawlakiem, że **„oczywiście, istnieje różnica między działalnością recenzencką w codziennej gazecie, a krytyką artystyczną i byłoby śmieszne, gdyby recenzenci z gazet chcieliby swą działalność do niej przyrównywać".** Nie jest to, niestety, śmieszne w świetle tego, co powiedzieliśmy o zasługach Henryka Pawlaka dla łódzkiego teatru. A chciałem przypomnieć, że Karol Irzykowski zamieszczał bardzo często swe recenzje w „Robotniku", a więc w gazecie codziennej. Zresztą całkiem już współczesny przykład „Trybuny Ludu" dowodzi, że można w prasie codziennej uprawiać działalność krytyczną odpowiedzialnie i wcale nie śmiesznie.

Nie tak dawno ukazały się dwie książki stanowiące wybór recenzji teatralnych:

BYĆ współczesnym

Wandy Karczewskiej „Dzień powszedni teatru" oraz **Marka Wawrzkiewicza** „Sceny wielkie i średnie". Książka M. Wawrzkiewicza w całości poświęcona jest inscenizacjom łódzkim, książka W. Karczewskiej w znacznej części. Ale jakoś żadna z tych recenzji nie miała swego pierwodruku w łódzkiej prasie codziennej. Czy dlatego, że były za obszerne albo za trudne? Po prostu nikt nie poprosił kompetentnych autorów o współpracę.

A przecież to samo można powiedzieć o literaturze. Komuś, całkowicie pozbawionemu słuchu, nie przyszłoby do głowy rozpisywać się o muzyce. O książkach może każdy. W jednej z łódzkich gazet codziennych czytam na przykład: **„Jest to bowiem lektura, której aspekt powinien zainteresować dorosłych".** Jaki aspekt, chciałoby się zapytać, ale recenzent zapomniał nam powiedzieć. Bo słowo aspekt sugeruje w mniemaniu recenzenta jakiś głębszy sens. Albo inne zdanie z tej samej recenzji: **„Chętni łatwego zysku przez „opylenie" trumny przybyłemu z zagranicy Ritterhornowi, rozwijają całą pomysłowość, harcerze tropią ich, milicja czuwa".** Zdanie, które ma przybliżyć omawianą książkę czytelnikowi, wygląda na jakieś nieporadne tłumaczenie z obcego języka.

Toteż warto pomyśleć o poszerzeniu bazy dla działalności krytycznej zapraszając do oceny zjawisk artystycznych ludzi w pełni kompetentnych, aby doraźne recenzje nie śmieszyły. Zjawiskom tym poświęca się tak niewiele uwagi, że doprawdy trzeba zadbać o to, aby omawiano je odpowiedzialnie. Bowiem zadaniem krytyki jest nie tylko ocena tych zjawisk. Na równi z dziełami artystycznymi kształtuje ona świadomość zbiorową, formuje postawy ideowe nie tylko wobec dzieł sztuki, ale wobec współczesnego świata.

KONRAD FREJDLICH

Dalszy ciąg ze str. 1

przyszłość filmu animowanego jest jasna i wyraźna. Że wystarczy usiąść do pracy.

Ale rzeczywistość jest bardziej skomplikowana, niż się to wydaje profanom.

Owszem, można zasiąść nad pięćdziesięcioma odcinkami **„Zaczarowanego ołówka"**, i zarabiać na tym nieźle i zaspokoić nienasycone pożądanie telewizji. Tylko, że nas to

KŁOPOTY WIEKU DOJRZAŁEGO

nie zadowala, jesteśmy zepsuci, rozpaskudzeni przez ambicje artystyczne i świadomość, że film animowany może przemówić nie tylko ilością, ale i jakością swoich dziełek.

Po przejściu wysokiej fali eksperymentu filmowego, jaka nawiedziła świat w końcu lat pięćdziesiątych, najtrwalsze ślady pozostały w kategorii filmów animowanych. To wtedy właśnie okazało się, jak wiele rzeczy można ożywić na ekranie, i jak wiele różnych myśli i spostrzeżeń przekazać odbiorcom, przy pomocy kresek i plam. Nauczono się tworzyć wymyślne metafory, przekonano się, że mała forma filmowa może zawrzeć w sobie wiele ciekawych poglądów i przemówić często celniej od wielkiego filmu aktorskiego. Wielki udział w tym światowym ruchu animowanego intelektu miała Polska, kraj bez tradycji w tej dziedzinie. A w Polsce odznaczył się w tej dziedzinie zasłużony łódzki **SE-MA-FOR — Studio Małych Form Filmowych.** W tej nazwie nie ma nic, co by wskazywało na przewagę, a nawet w ogóle istnienie w wytwórni kategorii filmów animowanych, ale my, widzowie kinowi, dobrze wiemy, co się za tym szyldem kryje. Nie zdajemy sobie tylko sprawy, jak bardzo historia zmian nazwy wytwórni związana jest ze zmianami jej charakteru. **Nazwa „Semafor" pojawia się stosunkowo niedawno, bo w roku 1961, podczas gdy studio (pod różnymi szyldami) działa przecież od roku 1946.**

Prześledzenie przemian nazwy wytwórni wydaje mi się równoznaczne z poznaniem historii myśli twórczej w polskim filmie animowanym. Może też wyjaśni wiele spraw związanych z dzisiejszymi kłopotami i wahaniami czcigodnego Jubilata („Semafor" skończył 25 lat, o czym raczej oszczędnie donoszono w prasie codziennej).

Zaczęło się to w kliteczce, którą **Przedsiębiorstwo Państwowe „Film Polski"** przydzieliło panu Wasilewskiemu na pracownię, a którą nazwano **„Studium Filmów Kukiełkowych"**. Studium pracowało powoli i uparcie, aż wreszcie na ekrany wszedł film **Zenona Wasilewskiego „Za Króla Krakusa"**. Stało się to w 1947 roku, i od tego filmu liczy się historię, nie tylko „Semafora", ale i całej polskiej twórczości animowanej. Zabawny, miły, safandułowaty Król Krakus nagradzany był nie tylko sympatią publiczności, żywą i dziś także, ale i przez jury w Brazylii i Francji.

W latach 1950—1955 Studio Filmów Kukiełkowych staje się Oddziałem Wytwórni Filmów Oświatowych i podporządkowane zostaje doraźnym zadaniom dydaktycznym. Realizowane bajeczki dla dzieci — infantylne a pouczające nie dają pola do popisu ambitnym, poszukującym twórcom. Zdziecinnienie dorosłych mocno daje się we znaki filmom dla dzieci. Ambicje twórców, dopływ świeżej, młodej kadry realizatorskiej, a przede wszystkim zmiana atmosfery w kinematografii doprowadzają do tego, że **w roku 1956 film animowany się znów usamodzielnia, przenosi do Tuszyna, zmienia szyld na Studio Filmów Lalkowych — i fermentuje.**

Coś się zaczyna dziać w polskiej animacji. Na te właśnie lata przypada największy rozkwit filmu eksperymentalnego. **Eksperyment więc wije gniazdko w lesie tuszyńskim.** Studio Filmów Lalkowych zaczęło posługiwać się już nie tylko lalką, tradycyjną kukiełką. Posługiwano się wszystkimi możliwymi do wyobrażenia przedmiotami i formami, które można było ożywić, dla wyrażenia wszystkiego: od prostej historyjki dla dzieci, do impresji filozoficznej wyłącznie dla dorosłych. A kiedy pod szyldem Filmów Lalkowych zaczęto realizować krótkie filmy aktorskie — znów trzeba było zmienić nazwę. To wtedy pojawia się nazwa **„SEMAFOR"** — i następuje kolejny, odmienny okres wzlotów.

„SEMAFOR" staje się miejscem, gdzie może pracować każdy, kto ma coś interesującego do powiedzenia. To złota era drzwi otwartych, równouprawnienia form i technik. **Tracą na tym tylko dzieci. Coraz rzadziej zjawiają się inteligentne, dowcipne filmy dla dzieci z marką fabryczną „Semafora".**

Czas mija, zmieniają się mody i zapotrzebowania. Małe formy aktorskie coraz bardziej przejmuje (i dyktuje) **telewizja.** Filmy eksperymentalne nie są już tak modne, ich styl trochę się przejadł, a metafory nieco zjełczały...

Cóż więc dalej ma robić „Semafor" w wieku dojrzałym?

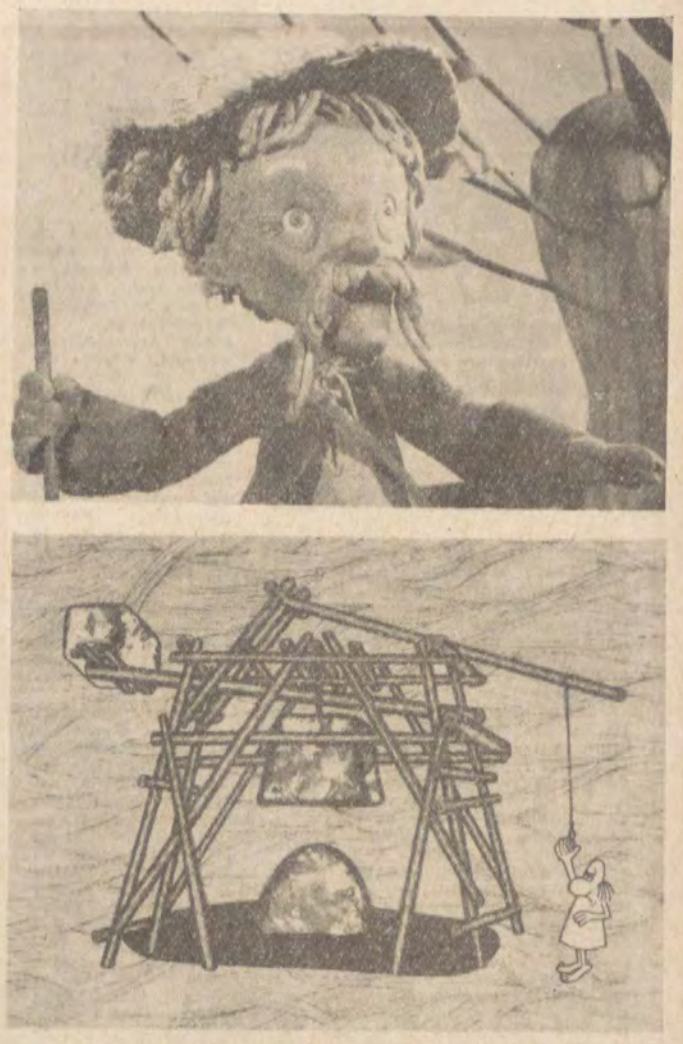

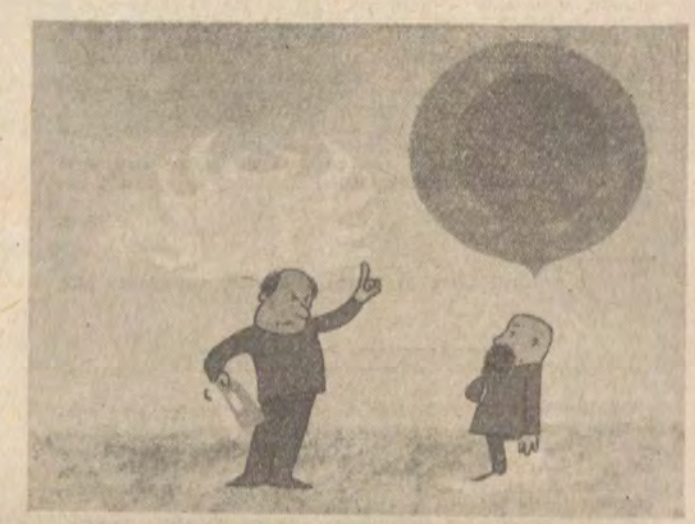

STEFAN PRAŻMOWSKI

SZANSA MŁODYCH

Nie zakorzenił się u nas zbyt głęboko zwyczaj pisania dobrze o bliźnich i to nie z okazji jakiegoś święta, jubileuszu czy jeszcze czegoś gorszego. Laurką można bowiem bardziej ośmieszyć bohatera, niż artykułem krytycznym. Mam jednak nadzieję, że uniknę laurki. Młoda kobieta, o której pragnę pisać, skorzystała z tej najpowszechniejszej i największej szansy, jaka jest w naszym kraju — z nauki. Wydawać by się mogło, że nie ma w tym nic oryginalnego, z tej szansy korzystają przecież w Polsce tysiące. A jednak będę się upierał przy tym, że na szczególne wyróżnienie zasługuje właśnie ona: **STASZKA POWĄZKA.**

Proszę sobie wyobrazić, że Staszka przez sześć lat bez przerwy pracowała w nocy w szpitalu w charakterze pielęgniarki, a w dzień studiowała medycynę. Medycynę, jak wiadomo, studiować można tylko stacjonarnie, zaocznych studiów nie ma. Staszka spała na dobę trzy — cztery godziny. Prosto z nocnego dyżuru biegła na zajęcia na Akademię Medyczną. Zdarzało się często, że ćwiczenia i wykłady trwały od godziny 8 do 21, oczywiście z jakimiś „okienkami", a o 22 trzeba było znów śpieszyć do szpitala. Staszka Powązka pracowała w Szpitalu dla Psychicznie i Nerwowo Chorych im. dr Babińskiego. Pracując na nocnej zmianie miała pod swoją opieką zwykle ponad 130 pacjentów i to w dodatku w dwu oddzielnych pawilonach. Potrafiła sobie jednak tak pracę zorganizować, że czasem znajdowała jeszcze chwilę na naukę, na odrabianie ćwiczeń. Warto zaznaczyć, że studia medyczne pochłaniają wyjątkowo wiele czasu. Jako studentka Akademii Medycznej wykazała ogromną siłę woli, charakter i upór. Studia skończyła z wyróżnieniem, obecnie pracuje w szpitalu psychiatrycznym w Warcie i prowadzi równocześnie zajęcia w Liceum Medycznym w Sieradzu. Ponadto robi specjalizację z psychiatrii. Kiedy ją odwiedziłem i poinformowałem, że mam zamiar o niej napisać była bardzo zaskoczona.

— Ja nie widzę, żebym nadawała się na „bohaterkę". Mój przypadek jest beznadziejny i niepedagogiczny. Jako pielęgniarka z dziesięcioletnią praktyką zarabiałam znacznie lepiej niż lekarz-stażysta. A przecież nie dla pieniędzy zaprzęgłam się w kierat sześcioletniej pracy i nauki. Jeśli to napiszesz, to młodzi pomyślą, że jestem pomylona, starsi zaś, że widocznie ułomna fizycznie, a wszyscy razem orzekną, że kierowała mną pycha i chorobliwa ambicja.

Po maturze, którą zdałam w liceum w Łasku, postanowiłam pójść na matematykę. Miałam podobno ku temu pewne zdolności. Lubiłam także nauki przyrodnicze. Pojechałam do Łodzi na egzamin. Siedziałam dwa tygodnie u ciotki, a po powrocie czekałam wraz z rodziną na zawiadomienie z uczelni. Rodzina była przekonana, że się dostałam, ponieważ prawie przez cały czas nauki byłam uczennicą wyróżniającą się w klasie. Zdziwili się więc bardzo, gdy zamiast z uniwersytetu, przyszło zawiadomienie ze szkoły pielęgniarskiej. Ja, po prostu, wystraszyłam się egzaminów na uniwersytet i wcale się tam nie pokazałam. Zaniosłam papiery do szkoły pielęgniarskiej. Tam przyjmowali bez egzaminów. Nie jest to czyn godny pochwały, teraz się tego bardzo wstydzę.

Chcąc nieco swą winę zmazać, postanowiłam po skończeniu szkoły pielęgniarskiej i po trzech latach pracy w szpitalu, zdawać na medycynę. Nie było to takie proste, lecz egzamin zdałam i zostałam przyjęta. Oczywiście przez przeoczenie. Otóż na świadectwie maturalnym szkoła pielęgniarska zapomniała mi postawić swój stempelek, który zamknąłby mi absolutnie drogę na medycynę. Taki stempelek zamyka bowiem wszystkim pielęgniarkom drogę na Akademię Medyczną. O tym, że jestem pielęgniarką, dziekanat dowiedział się już po wszystkim. Ale błagam, nie pisz o tym, to wstyd. Ale to jeszcze nie wszystko.

Stałam się na tyle bezczelna, że zwróciłam się do dziekana z prośbą o wyrażenie zgody na pracę. Sekretarki wyśmiały mnie, jak składałam podanie. Nie było takiego wypadku, żeby student Akademii Medycznej mógł w czasie roku pracować, chyba że w „Puchatku". Wyobraź sobie, że ja jednak zgodę otrzymałam. Bo moim dziekanem był jeden z najlepszych ludzi na świecie, prof. Cwynar. Dużo mu zawdzięczam. Postawiono mi tylko jeden warunek: jeśli będę miała złe postępy w nauce, to zezwolenie na pracę zostanie cofnięte. Jakoś sobie jednak radziłam. Ale nie myśl, że tylko sobie, własnemu uporowi, itd. zawdzięczam ukończenie tych studiów. Łączenie pracy z nauką jest bardzo trudne, ja nie miałam jednak innego wyjścia. Jako najstarsza z czworga rodzeństwa, nie mogłam sobie pozwolić na luksus porzucenia pracy.

Poznałam w tym, dość trudnym i ciężkim dla siebie, okresie, co to jest życzliwość ludzka. Bez tej witaminy wątpię, czy udałoby mi się wytrwać do końca, do dyplomu. Przekonałam się, że panuje w naszym kraju bardzo ciepły klimat dla ludzi uczących się. Na każdym kroku odczuwałam zrozumienie, życzliwość, opiekę, sympatię. Pomagali mi koledzy z roku, szli mi na rękę również moi profesorowie, nawet koleżanka, z którą mieszkałam razem w pokoju, była dla mnie wyrozumiała. Starałam się chodzić na wszystkie wykłady, nie opuszczać zajęć, czasem jednak zasypiałam. Właściwie przez cały czas studiów największą walkę toczyłam ze snem. Miało to i swoje dobre strony. Na przykład inni przed egzaminem się denerwowali, ja spałam, aż do momentu, kiedy mnie nie wywołano do profesora. Niektórym się wydawało, że mam stalowe nerwy, a ja po prostu byłam przemęczona. Nie będę udawała, odbiło się to na moim zdrowiu, nabawiłam się choroby wrzodowej.

Było chwilami ciężko, bardzo ciężko, lecz rzeczywiście warto się chyba czasem pozmagać z własną słabością. Korzystając z okazji, chciałabym również podziękować dyrekcji szpitala. Bez ich pomocy nie wiem, czy bym sobie poradziła. Oni mi nawet podręczniki do nauki kupowali. Wszyscy w pracy szli mi na rękę, a czasem nawet małe udogodnienie dużo znaczy. Fakt, że skończyłam studia w tak specyficznych warunkach, jest zasługą wielu życzliwych mi ludzi.

ZMAGAĆ SIĘ Z WŁASNĄ SŁABOŚCIĄ!

Na uroczystości Jubileuszu, krótkiej i ożywionej, mówcy stwierdzali jasno i niedwuznacznie, że **czas zająć się filmem dla dzieci.** Dziecko ma być znów ulubieńcem i szansą dla „Semafora". O tej tendencji miał świadczyć Miś Colargol i uroczy „Kundelek" p. Hornickiej.

Ale właściwie nikt nie wie naprawdę, jakie mają być te filmy. Czy znów dydaktyczne opowiastki dla bardzo małych dzieci? Czy może filmy w stylu dobranocek? I jak się ustrzec nowej fazy zdziecinnienia twórców?

„SEMAFOR" świetnie sobie zdaje sprawę z trudnej sytuacji, w jakiej się znalazł. Żadne złe warunki techniczne, żadna ciasnota pomieszczeń, nie gnębią go tak bardzo jak brak scenariuszy — i brak świadomości, co do tego, kim jest odbiorca, czego potrzebuje, czego oczekuje.

Brak scenariuszy. A w scenariuszach, które są — brak dowcipnej anegdoty, zwięzłej i celnej, brak też rzeczy zasadniczej — bohatera. Wiemy wszyscy, wie też „Semafor" gdzie jest klucz do powodzenia filmów Hanny-Barbery i innych: filmy te mają bohaterów o wyraźnie zarysowanych charakterach, z których w sposób logiczny wypływają filmowe konflikty i wesołe przygody. Nasi polscy bohaterowie są niewyraźni, trudno się do nich przyzwyczaić, tym trudniej przejąć się ich perypetiami. I nic nie pomoże ładna oprawa plastyczna, kiedy nie ma czego oprawiać...

Ale bo też w Polsce pracuje się na oślep. Nie ma żadnych badań nad widownią dziecięcą. **Nie wiadomo, co dzieci zainteresuje, co ubawi, co nauczy.** Czynniki pedagogiczne odzywają się na ogół tylko wtedy, kiedy film trzeba skrytykować za złe (z punktu widzenia słynnej Cioci Kloci) oddziaływanie wychowawcze, kiedy dzieci na ekranie się tłuką, albo robią coś równie zdrożnego i nienaturalnego.

Cóż więc robić ma „Semafor", żeby nie stracić swojego dobrego imienia?

Kiedy się ma na swoim koncie 500 zrealizowanych filmów i 100 nagród krajowych i międzynarodowych, nie łatwo jest wydeptywać nowe ścieżki. Najprościej byłoby robić filmy na zamówienie telewizji, nie dbać o coraz trudniejszy dostęp do kin, być fabryką. **Ale jak przy tym zachować indywidualność, styl, poziom artystyczny? Jak dotrzymać kroku opinii, jaką się zdobyło w świecie?**

„Semafor" nie ma do pomocy wyspecjalizowanych agend badawczych. Nie jest fabryką gagów. Musi więc znaleźć własną oryginalną drogę własnymi siłami. Na razie te poszukiwania przypominają hazard. „Semafor" spekuluje. Wygra czy straci? Do stracenia ma bardzo wiele: ludzi, doświadczenie, dobre imię. **Do wygrania — przyszłość.**

Życzymy mu więc powodzenia i trzymajmy mocno kciuki.

EWA NAGURSKA

FOTO: SE-MA-FOR

W poprzednim numerze „ODGŁOSÓW" przypomnieliśmy te artykuły KODEKSU POSTĘPOWANIA ADMINISTRACYJNEGO, które dotyczą krytyki prasowej. Są to artykuły 167, 172 i 177. Mówią one, że skargi i wnioski zawarte w artykułach prasowych powinny być załatwione w ciągu dwóch miesięcy. KPA w Art. 166 § 2 stwierdza, że „o rozpatrzeniu skargi i przekazaniu jej do załatwienia zawiadamia się równocześnie skarżącego". **To samo dotyczy wniosku, jaki może być zawarty w artykule prasowym, a mówi o tym Art. 172 § 2 KPA.**

Te postanowienia KPA przypominamy ponownie w związku z artykułem Witolda Słotwińskiego, który publikujemy poniżej. W artykule tym autor powraca do problemów wychowawczych poruszonych w swoim reportażu, publikowanym również na łamach „ODGŁOSÓW". Artykuł ten nosił tytuł: „AWANTURA NAD HARCERSKIM WYREM".

Publikowany poniżej artykuł adresujemy do Komendy Chorągwi ZHP w Łodzi.

ZHP

NIE MA SPRAWY?

Sądziłem, że gdy miną dwa tygodnie od głośnej „Awantury nad harcerskim wyrem" („Odgłosy', nr 34, z 17 VIII 1972), będę mógł odetchnąć z ulgą. Wierzyłem bowiem, iż wielostopniowy nadzór pedagogiczno-wychowawczy nie tylko z całą odpowiedzialnością i rozwagą zbada sprawę, lecz także wypowie się publicznie wobec Czytelników, wyjaśniając poszczególne kwestie poruszone we wspomnianym reportażu. Tymczasem instancja harcerska na wiele tygodni skrzętnie schowała głowę w piasek, czy jak kto woli nabrała wody do buzi. Atoli okazało się że niezupełnie mieliśmy rację, gdyż rodzice otrzymali **„odpowiedzi"**, które miały wyjaśnić **„sprawy interesujące Obywatela"**. Na pozór — niby w porządku, ale — jak się okazało idzie tu o **„odpowiedzi na list Ob. z dnia 5 IX br"** i do wiadomości: **1. KL PZPR 2. GKH ZHP...**

Mamy prawo sądzić, iż to właśnie wymienione instytucje sprawiły, że rodzice w końcu otrzymali pismo **Chorągwi Łódzkiej ZHP im. Bohaterskich Dzieci Polskich,** datowane 22 września 1972 i w załączeniu rzeczone „odpowiedzi". Oczekiwać należało — właśnie odpowiedzi na wcale niebłahe pytania i problemy. Chodziło bowiem o niezwykle drażliwą i złożoną sprawę — krzywdy dziecka, oczywistych zaniedbań, a nawet bezduszności ze strony Komendy Obozu w J. Tym bardziej, że sprawa nabrała publicznego rozgłosu. Publikowany materiał był podstawą szerokiej dyskusji, zwłaszcza w środowisku nauczycielskim. Niestety, ani Czytelnicy, ani rodzice nie otrzymali odpowiedzi na kardynalne pytanie w tej sprawie: **czy wymierzona kara w stosunku do harcerki z półrocznym stażem służby była proporcjonalna do przewinienia i czy najdrażliwsze podejrzenia Komendantki Obozu były oparte na faktach, czy też zaledwie na wybujałej, a niezdrowej — i w skutkach fatalnej fantazji kontrolujących?**

Miast odpowiedzi, rodzice otrzymali enigmatyczny elaborat, który nie tylko przeczy poznanym faktom, ale — co dziwniejsze — jest krokiem wstecz w stosunku do zajętego przez działaczy harcerskich stanowiska na etapie wielogodzinnych rozważań, w obecności reporterów i świadków, nad winą i karą Ewy B.

Półtorastronicowy tekst „odpowiedzi", w całości emanuje urzędniczy formalizm i typowa nonszalancja na — jakże złożoną i podpreparowaną rzeczywistość. Na wstępie głosi on, iż **„Po uzyskaniu informacji od Komendy Obozu w J. i zapoznaniu się z treścią protokołu Rady Obozu informujemy, że córka Obywatela Ewa B. została usunięta za naruszenie regulaminów:**

— regulaminu warty obozowej

— regulaminu uczestnika obozu.

Zaznaczamy, że oba regulaminy były omawiane z uczestnikami obozu oraz przez cały czas wisiały na tablicy rozkazów".

Nie idzie mi tu o „odkrywczość" tej formuły, ale — jak na ironię — w punkcie 3-cim tekstu twierdzi się — i nie bez racji — że:

„Zgodnie z przepisami obowiązującymi organizatorów akcji letniej odpowiedzialność za życie, bezpieczeństwo i sprawy wychowania młodzieży (podkr. moje) **spoczywa całkowicie na komendzie obozu. Komenda Hufca i Komenda Chorągwi w tym wypadku spełniały funkcje nadzorujące".**

I słusznie. Tyle że **„sprawy wychowania młodzieży"** zostały osobliwie potraktowane zarówno na obozie, jak i w chwili bieżącej, zaklepane pismem urzędowym, z wyraźnym akcentem usprawiedliwienia siebie — jako instancji organizacji. Czy mam zapytać — i to już nie pierwszy raz — **w którym miejscu długiej drogi pedagogicznego działania, tkwi istota wychowawczego posunięcia kadry w stosunku do Ewy? Czyżby w tym tylko, że przepędzono ją do domu?**

„Komenda Chorągwi ZHP — czytamy w „wyjaśnieniach" — **z przykrością stwierdza, że instruktor upoważniony przez Komendę Obozu do odwiezienia córki do domu nie dopełnił ciążących na nim obowiązków pozostawiając córkę bez opieki w mieszkaniu.**

Jako okoliczności łagodzące dla Ob. W. S. można wymienić następujące fakty (tu aż pięć „faktów") (...) **Wyżej wymienione okoliczności jednak nie usprawiedliwiają Obywatela W. S. i stąd Komenda Hufca Łódź-Górna została zobowiązana do wyciągnięcia specjalnych konsekwencji łącznie z pozbawieniem go prawa pełnienia funkcji na obozie w czasie akcji letniej".**

Wreszcie w konkluzji rodzice, a z nimi niżej podpisany, nie bez zdumienia przeczytali następującą formułkę:

„Informując Obywatela o powyższym, pragniemy powiadomić, że Komenda Chorągwi po przeanalizowaniu sprawy stwierdza, że uchwała Rady Obozu o przywiezieniu jednej z córek Obywatela do Łodzi była słuszna, natomiast pozostawienie jej samej w domu, świadczy o poważnym niedopatrzeniu ze strony Obywatela W. S.

Przykro nam, że fakt taki miał miejsce w naszej Chorągwi i tą drogą pragniemy Państwa jeszcze raz przeprosić".

Nam równie szalenie przykro i nie tylko z przyczyn — jak wyżej. Bodaj jeszcze bardziej z tego powodu, że schemat „wyjaśnień", właściwie, nikogo nie może usatysfakcjonować. No, może Autorów. Zdecydowanie — nie Czytelników, nie rodziców. Problem wychowawczy owej gimnastyki słowno-faktologicznej, pozostaje otwarty i pod znakiem zapytania. **Bo czyż wolno nam sprowadzić sprawę do zaniedbań Obywatela S.? Kto zbadał i fachowo ocenił fakty, decyzje i ich konsekwencje...** Sprowadzenie sprawy do zaniedbań Ob. S. — jest co najmniej grubą przesadą, a już na pewno uproszczeniem. Powiem otwarcie: **bronię Ob. S.! Nie w jego zaniedbaniu tkwi sedno sprawy. To zaledwie margines wychowawczo-pedagogicznej afery. Zrobił to, na co go było stać.** I nie widzę w postępku instruktora, a tak naprawdę z-cy komendanta obozu większego odejścia od odpowiedzialności, niż to zademonstrowała cała Rada Obozu, a tak naprawdę — jego Komenda (Vide: reportaż). W świetle zaś „wyjaśnień" — stał się przysłowiowym kozłem (proszę o wybaczenie) na ołtarzu nonszalancji i niefachowości.

WITOLD SŁOTWIŃSKI

WÓJT Z WOLBORZA

ZIEMOWIT MIEDZIŃSKI

400 lat temu, na jesieni 1572 roku, zmarł w Małczu, niedaleko Wolborza, najświetniejszy humanista polski, nie tylko zygmuntowskich czasów, Andrzej Frycz-Modrzewski, jednocześnie skromny wójt wolborski. W mieście tym po raz pierwszy ujrzał światło dnia w 1503 roku i z tym grodem był ściśle związany urzędem dziedzicznym.

Bliskie stosunki łączyły go także z pobliskimi Brzezinami. Frycz dzierżył w swoich rękach probostwo brzezińskie i często przebywał w nim zwłaszcza w latach 1540—1550. Tu w roku 1545 napisał trzecią mowę „O prawie na mężobójstwo", adresowaną do sejmu i episkopatu a w roku następnym „Skargę na podeptanie prawa bożego". W tej drugiej kierował apel do tych, którzy „obracają się nie na widowni Rzeczypospolitej, ale po wioskach, uliczkach i zagrodach". Oddany bez reszty studiom naukowym, głębokim dociekaniom moralnym, budował zręby trwałych i harmonijnych konstrukcji prawnopolitycznych.

Około 1558 roku utracił dochody z Brzezin na mocy dekretu prymasa Dzierzgowskiego, który go „odsądził plebanii brzezińskiej, iż nie wierzył jak kościół rzymski uczy". Mimo interwencji posłów, ponieważ ujął się za Fryczem sejm, władze kościelne nie uległy presji.

Warto wiedzieć, że Fryczowe gniazdo — Wolbórz — był starym grodziskiem leżącym w ówczesnym województwie sieradzkim. Pełnił funkcje obronne, strzegąc od północy stolicę województwa, ponieważ leżał na skrzyżowaniu dróg biegnących ku Mazowszu i Małopolsce. Za czasów Bolesława Śmiałego część dochodów wolborskich płynęła do szkatuły klasztoru w Mogilnie a następnie w roku 1148 Bolesław Krzywousty wyposażył biskupów kujawskich w kasztelanię wolborską. Późniejsi książęta aprobowali wspomniane wyżej przywileje, uzupełniając je dodatkowymi. I tak osada targowa przy grodzie otrzymała w roku 1273, potwierdzone w 1357 r. prawa miejskie, co wydatnie podniosło rangę Wolborza. Przez gród ten przewijały się korowody kupieckie zdążające z Poznania do Lublina i z południa od Krakowa ku Mazowszu i Litwie. Leżał również w bliskim sąsiedztwie Piotrkowa, do którego zjeżdżali monarchowie, zbierały się sejmy, nim przeniosły się do Warszawy. Wolborzanie byli częstymi świadkami koncentracji sił zbrojnych. Tutaj był w roku 1409 punkt zborny Małopolan i Litwinów a szczególnie uroczysty charakter miał dzień 24 czerwca 1410 roku, bowiem przyjechał Władysław Jagiełło na przegląd połączonych wojsk polskich, litewskich i ruskich, stojących na polach pobliskiej wioski Lubochni. Z tego miejsca wojska wyruszyły śpiesznymi pochodami w stronę północy, pod Grunwald, by złamać potęgę krzyżacką.

Podobne zgrupowanie nastąpiło jeszcze w roku 1414 i 1422 przed wyprawą golubską. W 1420 r. na zamku wolborskim posłowie czescy ofiarowywali Władysławowi Jagielle koronę swego kraju. Tu w burzliwych czasach „potopu szwedzkiego" przed opuszczeniem kraju, szukał czasowego schronienia nieszczęśliwy monarcha Jan Kazimierz.

Zamek, późniejsza własność biskupów kujawskich, do którego komnat często zachodził Andrzej z Modrzewia, był zbudowany na miejscu dawnego grodu, w pobliżu rynku, przy drodze wiodącej do Piotrkowa. Wielokrotnie restytuowany po pożarach, spłonął doszczętnie w wieku osiemnastym. W czasach swej największej świetności był siedzibą wielce okazałą. Nic też dziwnego, że jego pokojami nie pogardził Zygmunt August, odwiedzając biskupa Andrzeja Zebrzydowskiego. Było to w 1550 r., a więc roku koronacji Barbary Radziwiłłówny i sejmu pod hasłem „egzekucji praw", której domaga się także Frycz. Diariusz kardynała Henryka Gaetano z lat 1585—1596 podaje, że „zamek obronny był otoczony basztami i murami zwodzonymi, wewnątrz w guście włoskim".

Niestety, do dnia dzisiejszego ze wspomnianego zamku nic nie pozostało, podobnie jak nie ma śladu po rozebranym w 1832 roku ratuszu.

Zamek wolborski kojarzy się z ważnym fragmentem biografii Modrzewskiego. Tu bowiem rozegrał się słynny dyskurs ze Stanisławem z Orzechowa. W 1559 roku biskup Uchański, późniejszy prymas, a wówczas biskup kujawski, sprzyjający zresztą Fryczowi, zaprosił do swojej wolborskiej rezydencji obydwu pisarzy, aby zmierzyli się w dyspucie teologicznej. Wójt wolborski był oskarżony przez ortodoksyjne skrzydło kościelne o sprzyjanie „nowinkom" niesionym przez ruch reformacji.

Było to już w czasach, gdy Frycz od pięciu lat sprawował urząd wójtowski, po odejściu z kancelarii królewskiej Zygmunta Augusta. Naraził się wówczas wszechwładnemu biskupowi Hozjuszowi, notabene koledze, z którym dzielił los żakowski w Akademii Krakowskiej. Hozjusz miał za złe Modrzewskiemu, że w pierwszej edycji dzieła „O naprawie Rzeczypospolitej" wniósł wiele poglądów nowinkarskich, nie do przyjęcia przez obóz konserwatystów. Myśli reformistyczne dotyczące ustroju kościelnego, o którym marzył wójt wolborski, koncentrowały się między innymi wokół kwestii zwołania soboru powszechnego, obierania biskupów nie drogą nominacji, ale głosami uzyskiwanymi na drodze powszechnych wyborów. Andrzej z Modrzewia szkicował dalej plany reorganizacji władzy papieskiej. Uważał tak zwanego namiestnika Piotrowego za biskupa Rzymu a zatem równego innym purpurantom, uzurpującemu sobie tylko prawo do nieomylności. Papież mógłby być pierwszym autorytetem w świecie chrześcijańskim, gdyby jednak zerwano ze złą tradycją wynoszenia do tej godności tylko Włochów.

Szalejąca kontrreformacja nie mogła puścić płazem radykalizmu religijnego Frycza. W obawie o życie własne i najbliższych już w 1556 roku musiał salwować się ucieczką z Wolborza, chroniąc się pod opiekuńcze skrzydła wielkiego hetmana Jana Tarnowskiego, przed gniewem papieża i jego polskimi zwolennikami. W sukurs Andrzejowi z Modrzewia pośpieszył również wspomniany biskup Uchański, organizator słynnej dysputy ze Stanisławem Orzechowskim. Liczył na pomoc i wielkoduszność tego cenionego humanisty, niegdyś przyjaciela autora traktatu „O karze za mężobójstwo". Niestety, prognozy okazały się zawodne. Orzechowski bronił w pięciodniowej dyskusji zarówno papieża jak i hierarchii kościelnej wobec Frycza, który domagał się naprawy Kościoła. Właśnie tylko co skończył traktat „O prymacie papieża", atakujący biskupa rzymskiego. W ostatnim dniu colloquium Orzechowski przybił do drzwi wolborskiej kolegiaty pięć tez broniących Kościoła i złożył oświadczenie, że jeśli Frycz „do zachodu słońca dnia tego tez owych nie podpisze", tym samym będzie „odszczepieńcem, heretykiem".

Jak można się domyślić, mistrz Andrzej nie podpisał tez Stanisława z Orzechowa, toteż akta sprawy trafiły do kurii rzymskiej. W roku 1567 biskup Karnkowski musiał usunąć Frycza z urzędu wójtowskiego, na wyraźny rozkaz papieski.

W tym samy roku 64-letni Frycz musiał opuścić Wolbórz, porzucić dom i udać się na ostateczną tułaczkę. Powrócił do swego rodzinnego gniazda na jesieni 1572 roku, szukając w nim schronienia przed szalejącą w Wielkopolsce zarazą morową. Przybył do Wolborza z Trzepnicy, gdzie mieszkał i w domu ojców zmarł. Pochowano go w pobliskiej wsi, Małczu. Mało kto rozumiał, że odchodzi z grona żyjących jeden z renesansowych tytanów myśli. Jak słuszne jest określenie Engelsa, który mówiąc o kulturze Odrodzenia stwierdził, że „epoka ta wymagała olbrzymów i olbrzymów zrodziła — olbrzymów myśli, namiętności, charakterów, wszechstronności i wiedzy". W dziejach literatury staropolskiej i historii literatury europejskiej epoki Odrodzenia trudno znaleźć pisarza, który by silniej niż nasz wolborzanin był związany z głównymi zagadnieniami społecznymi swego okresu. Frycz to sumienie swego stulecia, głęboko odczuwające sytuację wszystkich pokrzywdzonych.

Dalszy ciąg ze str. 1

— *Byłoby interesujące poznać zapisy w tych księgach. To by mogło stanowić rozdział dobrej powieści.*

Kiedyś w taką paryską noc znaleźliśmy się na bulwarze Rochechoire i stanęliśmy obok nocnego baru „Czarny Balonik". Wchodzimy. Do naszego stolika przysiadła się urodziwa, smukła kobieta. Okazało się, że jest Marokanką, tańczyła w „Casino de Paris" z żywym wężem — boa. Babel szczegółowo pytał ją o zarobki, o to, czym się żywi wąż-boa, czy długo śpi. Potem odwieźliśmy Marokankę do hotelu, w którym mieszkała.

— *Czy pan zna się choć trochę na pięknie? Gdzie oni mają oczy, ci kobieciarze Francuzi? Taka piękność — w podłej dziurze.*

Nieoczekiwanie dostałem list:

„Droga dziecino! Tak wyszło. Wyjechałem raptownie — jak bym miał zamiar umierać. Dziecino, Nadarzyła się sposobność!... Jeśli pan jeszcze w hotelu, jeśli nie zamierza pan przyjechać do Marsylii — proszę napisać..."

Babel wzywał mnie uporczywie do Marsylii i zapytałem listownie, jak długo zamierza pozostać w tym mieście. Szybko nadeszła odpowiedź:

„Nie wyjadę z Marsylii nie tylko do 1 listopada — nigdy stąd nie wyjadę. Obojętne, kiedy pan przyjedzie — zastanie mnie pan.

Jeśli przyjedzie pan wieczorem (jest pociąg, który przychodzi do Marsylii o 10-tej wieczorem) — będę na pana czekał. Niech mnie pan powiadomi o dniu przyjazdu i jakim pociągiem".

Ale z Marsylii mimo wszystko wyjechał:

„Sprawy wzywają mnie do Paryża. Doczekać się pana — można drugiego mesjasza się doczekać. Dlatego, póki co, niech pan oczekuje mnie w hotelu „Tilsit".

O Marsylii opowiadał z zachwytem, mówił, że to Odessa, która osiągnęła światowy rozkwit. Zachwycony był dzielnicami wokół Starego Portu, zmurszałymi domami, starzejącymi się w rozpuście kobietami, wypełzającymi z mieszkań-rozpadlin marynarzami wszystkich ras i nacji. Wszystko to zostało opisane przez Maupassanta.

Pod koniec 1927 r. wróciłem do Moskwy i w 1928 r. dość często korespondowaliśmy ze sobą. W lutym przyszedł z Paryża list:

„Drogi Lwie Beniaminowiczu. Niech pan będzie tak miły, pójdzie na przedstawienie „Zmierzchu" i później nie leni się opisać mi tę sromotę. Otrzymałem sztukę w wydaniu „Kruga". To cudactwo. Błędy drukarskie całkowicie psują sens. Nieszczęsna twórczości!... Z wydarzeń, które zasługują na odnotowanie, na pierwszym miejscu upajająca, nieprawdopodobna wiosna. Okazuje się, że ludzie mieli rację — cudowna jest wiosna w Paryżu.

Do lutego pracowałem systematycznie, potem zacząłem pisać zupełnie zadziwiającą rzecz, wczoraj jednak o 11.30 wieczorem uznałem, że to zupełne gówno, beznadziejne i bombastyczne, dlatego też... Półtora miesiąca życia stracone na próżno. Dzisiaj jeszcze biadolę, ale jutro będę rozmyślał, że błędy uczą..."

O „Zmierzchu" powiadomiłem Babla i, o ile pamiętam, zmuszony byłem go zmartwić. Babel przeczuwał porażkę w teatrze, wiedział, że jego sztuka będzie wystawiona nie tak, jak tego wymagała. To drażniło go i w następnym liście z Paryża znowu pisze o czarującej wiośnie i ponownie wraca do swojej sztuki:

„Nie, grzech je łajać, miasto jest wspaniałe, szkoda tylko, że bardzo ustabilizowane... W kwietniu zapewne pojadę do Italii, do Gorkiego, patriarcha wzywa wytrwale, nie wypada odmawiać. Pomieszkam tam do odjazdu Gorkiego do Rosji... Przy okazji o „Zmierzchu". Dumny jestem, że jego fiasko przewidywałem do najdrobniejszych szczegółów. Jeśli jeszcze raz w życiu napiszę sztukę (a wydaje się, że napiszę), będę siedział na wszystkich próbach, zwiążę się z żoną dyrektora, rok wcześniej zacznę współpracować z „Wieczorną Moskwą", albo z „Wieczorną Czerwoną" — a sztuka będzie nosiła tytuł „Na przełomie", a może nawet „Na styku" (albo, powiedzmy, „Jaka przestrzeń!..."). Chociaż tworzę z trudem, ale tworzę... Chorowałem na grypę, ale teraz wydobrzałem, odczuwam dziarskość ducha, nieco jednak niebezpieczną — boję się, że pęknę. Przyjacielu, Lwie Beniaminowiczu, niech pan o mnie nie zapomina, a i Bóg pana nie opuści! Bardzo jest przyjemnie otrzymywać pańskie listy. Zapewne coś nowego wydarzyło się także w Moskwie..."

Babel wewnętrznym męstwem pokonywał gorycz i klęski, nikt nie wie, dlaczego nie wyszła mu „zadziwiająca rzecz", nad którą pracował półtora miesiąca. Zupełnie nie wyolbrzymia, gdy mówi o mękach swojej pracy, o dniach, miesiącach, nawet latach, straconych na próżno. Możliwe, że był zbyt wymagający. *„Jakoś zupełnie nie mogę zjeść z koturnów"* — pisał Babel w którymś liście.

Chciwie śledził życie, wnikał w charaktery ludzi Zachodu. Z Ostendy napisał do mnie 7 sierpnia 1928 r.:

„Widziałem najrozmaitsze różności naszego wieku, ale takiej lśniącej, zaciemniającej umysł Sodomy nawet w snach nie mogłem sobie wyobrazić. Piszę do pana z tarasu kasyna, ale tylko tu piszę, bo jeść pójdę do cudownego portu rybackiego, gdzie Flamandowie wyplatają sieci, a ryba suszy się na ulicy. Wypiję za pańskie zdrowie szkockiego piwa i zjem porcję muła. Życzę pomyślności.

PAŃSKI I. BABEL".

Babel pożądliwie wnikał w byt Francji, postanowił pisać o jej ludziach; możliwe, że już pisał zamierzając wywieźć w sercu i umyśle obraz tego kraju to, chyba, najprawdopodobniej ze wszystkiego, było jego syzyfową pracą. Nieustannie mówił o męczeństwie swojej pracy. W międzyczasie gazety w Moskwie, czasopisma, oczekiwały jego utworów. Nie pamiętam już z upoważnienia jakiego wydawnictwa wysłałem do niego telegram z prośbą o fragment utworu, nad którym pracuje. Babel odpowiedział depeszą:

„Niemożliwe. Przyślę list. Babel".

I rzeczywiście, nadszedł od niego list z 30 sierpnia 1928 roku:

„Do tej pory nie doprowadziłem swojej literatury do kształtu zasługującego na druk. I nie prędko to jeszcze nastąpi. Nie jest mi łatwo z tą literaturą. Dla takiego tempa, dla takich metod potrzebna by była, jak pan sprawiedliwie pozwolił zauważyć, Jasna Polana, ale jej nie ma w ogóle nie ma nic ważnego, ja, poza wszystkim, nie będę się dobijał tych dostojeństw i zupełnie świadomie skazałem siebie na „garstkę powietrza" przeznaczoną za kilka lat na zniszczenie i cudaczne bytowanie. W następstwie wszystkich tych wyszczególnionych powodów, ze szczerą zgryzotą (prawda, że było to dla mnie bardzo smutne), wysłałem panu depeszę o tym, że nie mogę dać materiału dla gazety. Do Rosji pojadę w październiku. Nie wiem, gdzie zamieszkam, wybiorę miejsce głuche i tanie. Wiem tylko, że nie będę mieszkał w Moskwie. Tam (w Moskwie) nie ma dla mnie nic do roboty... Teraz przeżywam tutaj ostatnie dni i cały dzień poruszam się po Paryżu — dopiero przed chwilą zjadłem coś na mieście.

A więc do widzenia, miły towarzyszu, piszę z zachwytem: Do szybkiego zobaczenia."

Babel wrócił do kraju, do Moskwy, i zaczęliśmy widywać się często. Mieszkałem w pobliżu hipodromu, a Babel lubił konie i biegi i przyjaźnił się z dżokejami.

Z najbliższym swoim przyjacielem, kawalerzystą, bohaterem wojny domowej, Dymitrem Arkadiewiczem Szmidtem, Babel poznał mnie na hipodromie, a gdzieś, na ulicy, Szmidt wydał mi się na pierwszy rzut oka człowiekiem zasępionym, nierozmownym. Potem porażał mnie szczególnym i bardzo rozumnym humorem.

Czy mogliśmy wtedy przypuszczać, w końcu lat dwudziestych, że Babla i Szmidta spotka w okresie kultu Stalina ten sam los?

Babel wtedy na długo zniknął z Moskwy. W końcu 1931 roku mieszkał w Mołodienowie na terenie stadniny koni. Pewnego razu wybieraliśmy się do niego w odwiedziny. My, to Dymitr Szmidt, dyrektor wydawnictwa „Federacja" Cypin oraz ja. Podróż była bardzo skomplikowana, w tym czasie drogi wokół Moskwy przedstawiały wiele do życzenia, a także samochody były marniutkie i bardzo zużyte.

Babel poinstruował nas:

„Oczekuję was wszystkich trzech około drugiej. Tak umówiłem się z Cypinem. Jechać trzeba tak: szosą Możajską do Pierwuszkowa, tam skręcić w kierunku Uspienskoje; w stadninie będę czekał na was około drugiej. Do sowchozu Uspieńskiego droga będzie dobra, wiorstę — półtora wytrzęsie was. Będę was oczekiwał u zastępcy kierownika Kurlandskiego albo u dżokeja Pienkina.

Jutro lub pojutrze spróbuję do pana zadzwonić. Jedzenie i wódka będą u mnie, jeśli chcecie delikatesów i białego chleba, przywieźcie z sobą...

Pozdrawiam — najserdeczniej, jak tylko potrafię, J. G.

PAŃSKI I. BABEL

Mołodienowo
30. 10. 31"

Wyjazd z jakichś powodów nie nastąpił. I można tego tylko żałować.

Interesowali go ludzie wybitni, znakomici. W Paryżu poznał się z Szalapinem i to do niego Szalapin powiedział: *„Nie udało się życie".* Co prawda powtarzał to nie raz także innym. Babel widział się z Iwanem Buninem. Nie pamiętam, co Babel opowiadał o tym spotkaniu, ale Bunin nie zapomniał wspomnieć o nim źle i grubiańsko w swoich „Wspomnieniach", które notabene ukazały się w r. 1950, kiedy w Paryżu znane już były losy pisarza. Ale Babel został obrugany w doborowym towarzystwie — wspólnie z Aleksandrem Błokiem i Majakowskim.

Los zetknął mnie z Bablem jeszcze raz za granicą, tym razem we Włoszech, w Sorrento, w gościnie u Gorkiego.

Nastąpiło to tak: w lutym 1933 roku pojechałem do Turcji. Ze Stambułu napisałem do Babla do Paryża o moich wędrówkach. 22 lutego 1933 roku odpowiedział mi listem:

„Drogi L. B. Nie mogę wyrazić, jak uradowała mnie pańska pocztówka, jak się ucieszyłem, całym sercem. Wreszcie. Pisać nie pisałem, ale rozmyślałem i wspominałem o panu ustawicznie — szczególnie w czasie spacerów po Av. Wagram... Dobrym miastem jest Paryż, stał się jeszcze lepszym. Amerykanie i Anglicy z szalonymi pieniędzmi zniknęli. Paryż stał się miastem francuskim i dlatego poetyckim, wyrazistszym, tajemniczym. Obawiam się, że nie spotkamy się na Montparnasie. Z początkiem lata będę w Moskwie, w marcu chcę pojechać do Italii. Czy nie powinienem zawadzić o Turcję i wrócić przez Konstantynopol? Czy Italia nie znajduje się w pańskiej marszrucie? Niech mi pan odpowie. Niech pan napisze o rosyjskich sprawach. Czytaliśmy zbiorowo pański felieton o Pilniaku — konaliśmy ze śmiechu... Tu mam ślad trzech i pół roku — egzystencji wesołej, zabawnej i balowej.

Erenburg jest bogaty — Amerykanie po raz któryś kupili od niego „Janny Neill" na film. Ja, przeciwnie, jestem biedny. Czy mam jakichś znajomych w tureckim przedstawicielstwie?...

Proszę szybko odpowiedzieć...

PAŃSKI I. B."

Prawie w tym samym czasie dostałem list od A. M. Gorkiego z zaproszeniem przyjazdu do niego, do Sorrento.

Do Sorrento przybyłem późno wieczorem. Rano, otwierając drzwi na taras, stanąłem oślepiony i zachwycony widokiem Zatoki Neapolitańskiej, gór i nagle usłyszałem znajomy chichot i głos:

— *Tego tylko brakowało...*

W oknie pierwszego piętra hotelu stał Babel.

Gośćmi Gorkiego byli prócz nas: Samuel Jakowlewicz Marszak i malarz Wasyl Mikołajewicz Jakowlew. Nie będę powtarzał tego, co wielokrotnie opisano już w książkach, o trzech tygodniach pobytu w Sorrento, o spacerach w parku willi Il Sorito, o wyjeździe na Capri, o długich wieczornych rozmowach przy stole w domu Gorkiego, o tym, jak Aleksy Maksimowicz czytał nam opowiadanie „Jadą", które tak lubił Babel.

Po tym czytaniu wracaliśmy nocą do naszego hotelu. Babel mówił z lekkim zdziwieniem:

— *Nigdy nie dowiemy się, czym jest światowa sława. A Gorki jej zakosztował. Niech pan sobie wyobrazi kogoś innego na jego miejscu.*

Z Sorrento wybrałem się do Paryża, spędziłem tam dwa miesiące i wróciłem do Moskwy. Babel także wrócił do Paryża i w lipcu 1933 dostałem od niego alarmujący list.

W Moskwie oczerniano go, że zbyt długo zatrzymuje się za granicą, oczerniano go przede wszystkim w środowisku literackim. Wiedziano o tym, że pierwsza żona Babla zdecydowała się zostać za granicą, że w Paryżu mieszka córka Babla. Widocznie dowiedział się o tym i oto list, w którym odpowiada oszczercom:

„Lepiej moi przyjaciele posłaliby mi pieniędzy na drogę, albo chociaż bilet kolejowy. Pięć miesięcy temu zwróciłem się o to, nikt nie odpowiedział. Co to znaczy? Oznacza to, że zostałem pozostawiony samemu sobie w obcym i złowrogim położeniu, gdy uczciwy obywatel radziecki nie może zarabiać. Ale amerykański wujaszek się skończył, nastąpiła misere noire, długi itd. Poniżenie i bezsens polegają na tym, że człowiek, niezależnie od tego, czym się zajmuje, przyzwyczajony do tego, żeby się obejść bez jakiejkolwiek żebraniny, zmuszony jest biegać do nich, a ponieważ robi to wbrew swemu sumieniu, wbrew swojej dumie, to mu to źle idzie. Życie takiego człowieka łamie się, gdy trzeba podejmować męczące decyzje. Współczucia nie potrzebuję, ale zrozumienie towarzyszy byłoby na miejscu.

Voila, nie wesoło. Potrzebuję, aż do ostateczności, znaleźć się w Moskwie, 10. VIII., w przeciwnym wypadku runą dawniej opracowane plany. A więc z wiarą w „bożą pomoc" — a bientot.

KOCHAJĄCY WAS I. B.

Erenburg był w Londynie, zachorował tam, teraz jest w Szwecji".

Męcząca decyzja polegała na tym, że trzeba było na długo (okazało się, że na zawsze) rozstać się z córką, z rodziną. Myśl o tym, żeby porzucić Rosję, rozumie się, nigdy w nim nie powstała, i ze wszystkiego widać, że „ustabilizowany" byt na Zachodzie był obcy osobowości Babla; z żywym zainteresowaniem poznawał i badał to życie jako pisarz, ale potrzebne mu było burzliwe, gwałtowne życie w kraju, który był mu najdroższy ze wszystkiego.

Posiadał nienasyconą ciekawość ludzi, jego przyjaciółmi byli budowniczowie, dyrektorzy fabryk, pracownicy aparatu partyjnego, kierownicy kołchozów, żołnierze. Gdzież jeszcze mógłby spotkać takich ludzi, takie charaktery, okrzepłe w burzach i walce wielkiej rewolucji... Jestem przekonany, że w ostatnich latach swego życia, aresztowany, nie zaprzestał poznawania ludzi, ich charakterów, języka, ich gorzkich rozmyślań.

Babel pisał te listy na obczyźnie: w Paryżu, Marsylii, Ostendzie, ale jest także list z Mołodienowa w podmoskiewskiej ziemi, gdzie w tamtych latach nie było łatwo dojechać. Kochał i znał życie Rosji, lubił mieszkać w „głębinach" i przedkładał je nad życie w mieście.

Więcej niż trzydzieści lat przechowywałem te listy, ostatnie przeczytałem z uczuciem goryczy i bólu.

Babel zniknął z naszego środowiska, jak znikali inni nasi towarzysze, ale zostawił przecież niezatarty, a nawet, powiedziałbym — oślepiający ślad w naszej literaturze. Nie z własnej winy musiał przerwać swą pieśń.

LEW NIKULIN

Przełożył: KONRAD FREJDLICH

SOCJOLOGIA

Nauczyciel i społeczeństwo

Przeprowadzone w maju br. badania socjologiczne miały odpowiedzieć na pytanie, co sądzi społeczeństwo o pracy i pozycji nauczyciela. Odpowiedź na to pytanie interesowała Komisję Prognozowania Oświaty przy Ministerstwie Oświaty i Wychowania. Badaniami objęto przeszło 800 osób, z czego część stanowiła młodzież ostatnich klas szkół podstawowych, licealnych i zawodowych oraz liceum dla pracujących. Pozostali — to rodzice uczniów, którzy nie byli badani.

Posłużono się ankietą, wypełnianą anonimowo. Badani mieli odpowiedzieć na pytania: **jakich pięć zawodów uważają za najważniejsze dla społeczeństwa oraz jakie zawody zasługują na najwyższe społeczne uznanie?** Nie pytaliśmy bezpośrednio o zawód nauczyciela. Ale już po sformułowaniu pytania, zrodziła się obawa, czy prowadzenie badań w szkołach nie było czynnikiem sugerującym wybór nauczycieli. Dlatego utrzymaliśmy w tajemnicy właściwy cel badań oraz zagwarantowaliśmy pełną anonimowość wypowiedzi.

Mimo tych obaw otrzymaliśmy wcale interesujący materiał. Opinia młodzieży i dorosłych różniła się wprawdzie, ale w jednym i drugim przypadku na pierwszym miejscu postawiono **lekarza** (82 proc. wypowiedzi młodzieży i 87 proc. dorosłych), na drugim **nauczyciela** (70 proc. — młodzież i 73 proc. — dorośli) i na trzecim miejscu obie grupy badanych wymieniły... **rolnika** (po 33 proc. wypowiedzi w obu grupach).

Młodzież na dalszych miejscach wymieniła: **robotnika** (31 proc. wypowiedzi), **budowlanego** (27 proc.), **milicjanta** (25 proc.), **inżyniera** niezależnie od specjalności (24 proc.), **górnika** (18 proc.), **pracownika nauki** (18 proc.) i **rzemieślnika** (14 proc.). Inaczej nieco społeczną rolę poszczególnych zawodów widzą dorośli. Na czwartym miejscu wymieniają **inżyniera** (29 proc. wypowiedzi). Dalej idą: **górnik** (21 proc.), **technik mechanik** (20 proc.), **budowlany** (20 proc..), **robotnik** (19 proc.), **rzemieślnik** (17 proc.) i... **pracownik nauki** (15 proc.).

Na dalszych miejscach wymieniono zawody: **chemika, prawnika, transportowca, ekonomisty, architekta, włókniarza, strażaka, ekspedientki, aktora, pielęgniarki, elektronika, dziennikarza, wojskowego, literata, plastyka i filmowca.**

Przed dwunastoma laty takie badania przeprowadzili **Włodzimiesz Wesołowski i Adam Sarapata.** Uzyskano podobne wyniki. **W 1960 roku na pierwszym miejscu znalazł się profesor uniwersytetu, na drugim — lekarz, a na trzecim — nauczyciel.** Tegoroczne wyniki łódzkich badań świadczą o tym, że pozycja nauczyciela utrzymała się, a nawet nieco wzrosła.

Niedawno zapoznałem się z wynikami podobnych badań przeprowadzonych w **środowisku wiejskim.** Tam również zawód **nauczyciela znalazł się na trzecim miejscu** i został wyprzedzony przez **lekarza i agronoma,** co w tym środowisku jest rzeczą naturalną.

Jak wygląda pozycja nauczyciela w innych krajach? W **NRF** nauczyciel znajduje się na **9 miejscu,** w **Anglii** na **10,** a w **Japonii** na **11 miejscu.** Badania łódzkie, choć nie mogą pretendować do reprezentowania opinii całego kraju, wyrażają wiarygodną opinię społeczeństwa wielkomiejskiego.

Gdzie tkwi źródło tak wysokiego prestiżu społecznego nauczyciela? W większości wskazują na nie sami respondenci, którzy podkreślali, że lekarze i nauczyciele stanowią najważniejsze dla społeczeństwa grupy zawodowe. Zasługują one na najwyższe uznanie, gdyż pierwsi lecząc, ratują zdrowie i życie ludzi, a drudzy — uczą i wychowują. Wspólnie z rodzicami kształtują umysły i charaktery młodego pokolenia. Od pracy, wysiłku i zaangażowania nauczycieli zależy w dużym stopniu obraz przyszłego społeczeństwa i narodu.

Wydaje się, że w dobie, gdy dobra materialne straciły na atrakcyjności ze względu na łatwość ich zdobycia bądź utraty, wykształcenie nabrało wartości trwałej i nieprzemijającej. Wykształcenie otwiera młodemu człowiekowi drogę życia, stwarza mu możliwość awansu. Kiedyś rodzice zabiegali o pozostawienie swym dzieciom bogatego posagu. Czasy te minęły bezpowrotnie. Ale wszyscy rodzice starają się zapewnić swym dzieciom szczęśliwą przyszłość. Uzależniają ją słusznie od uzyskania wykształcenia. A to właśnie nauczyciel przekazuje wiedzę i umożliwia młodzieży zdobywanie najwyższych stopni wykształcenia. I chyba dlatego społeczeństwo ceni tak wysoko trud i wysiłek nauczyciela.

Oprócz tych niewątpliwie ważkich argumentów jest jeszcze inne źródło wysokiego prestiżu nauczyciela. Stanowi je zaangażowanie nauczycieli w prace społeczne środowiska. Przed dwoma laty przeprowadzono inne badania, którymi objęto ponad trzystu nauczycieli. **Badania te wykazały, że przeszło połowa nauczycieli czynnie uczestniczy w pracach różnych organizacji społeczno-politycznych i oświatowo - wychowawczych.** Najbardziej aktywni są nauczyciele przodujący, którzy swymi doświadczeniami pedagogicznymi dzielą się z innymi w postaci tzw. odczytów pedagogicznych, czyli opisów swych osiągnięć. Okazało się, że ci nauczyciele, prawie wszyscy są aktywnymi członkami różnych organizacji społecznych.

Ale nie można pominąć i cieniów wszechstronnej działalności społecznej nauczycieli, bowiem przeciążenie powoduje ujemne zjawiska w szkole. Dlatego postawić trzeba pytanie **o zakres i treść społecznej aktywności nauczycieli poza szkołą.** Odpowiedź nie jest ani łatwa, ani prosta. Jeśli chodzi o zakres społecznej działalności nauczycieli, to powinien on obejmować uczestnictwo nauczycieli w takich organizacjach, w których ich obecność jest nieodzowna lub nawet konieczna.

Bezwzględnie należy wykluczyć, właściwie zaoszczędzić nauczycielom takich prac, które mogą z powodzeniem podejmować przedstawiciele innych grup zawodowych. A więc nauczyciele w pracy społecznej nie mogą i nie powinni zastępować i wyręczać innych. Poza tym należy unikać powierzania jednej osobie różnorakich funkcji.

Wyniki sondażu wykazały, że nauczyciel znajduje się na wysokim szczeblu drabiny społecznego uznania i poważania. Opinia ta cieszy na pewno wszystkich, ale jednocześnie **zobowiązuje do takiego postępowania, by prestiż społeczny zawodu nauczyciela rósł i umacniał się.** Jest to możliwe wtedy, gdy nauczyciel będzie solidnie wykonywał swą podstawową pracę zawodową w szkole i w miarę swoich możliwości uczestniczył w życiu społecznym środowiska.

JAN JANICKI

FILM

SZALENIEC czy buntownik?

Jeśli Amerykanin nazywa się Kowalski, jego rodowód nie może budzić wątpliwości, ale też na tym pierwszym wrażeniu kończą się związki bohatera filmu „ZNIKAJĄCY PUNKT" z ojczyzną jego przodków. Wszystko, co o Kowalskim wiemy, wszystko co robi i co go otacza, jest samą Ameryką. Kowalski — ex-marines, który ma za sobą Wietnam, ex-policjant i były kierowca rajdowy, a obecnie dostawca samochodów, zasiadając za kierownicą „Dodge'a" staje się „ostatnią, piękną, wolną duszą na tej planecie". Tak go nazywa kibicujący bezsensowną ucieczkę „Super-Duch", ślepy Murzyn, właściciel małej, lokalnej stacji radiowej.

Można „Znikający punkt" w reżyserii Richarda Sarafiana uznać wyłącznie za znakomicie zrealizowany film sensacyjny, można jednakże traktować go jako znakomitą parabolę, w której dokonuje się wcale nie powierzchowna analiza amerykańskiego społeczeństwa. Przypisany mu duch demokratyzmu i tolerancji i towarzysząca atmosfera spokoju i dobrobytu niezwykle szybko ustępują aktywizującej się przemocy, nieuzasadnionej, a narastającej nienawiści, a także bierności przyzwalającej tamtym siłom na działanie. Sympatyczni „fajni chłopcy" z policji, tolerujący piosenki i nieprzychylne im komentarze „Super-Ducha" będą nieobecni, gdy inni „chłopcy" zdemolują radiostację i pobiją ślepego Murzyna, zdenerwowani niesubordynacją Kowalskiego „fajni chłopcy" z policji szybko zmobilizują siły trzech stanów zachodniej Ameryki, aby pogoń za Kowalskim zakończyć sukcesem. Pogoń za człowiekiem, który przekroczył przepisy drogowe, niepostrzeżenie przemienia się w walkę, w której nie tyle prawo ma zwyciężyć, co zwycięstwo odnieść siła. Dla spokojnych ludzi, spokojnych amerykańskich prowincji pogoń za Kowalskim to nie tylko chwila atrakcji w ich monotonnym żywocie, to nie tylko sensacyjny żer dla dziennikarzy, to okazja do utwierdzenia się w przekonaniu, iż nad spokojem egzystencji czuwają „fajni chłopcy", że nic nie jest w stanie w ich życiu coś zmienić. Bunt przeciw tym siłom bezwładu, jaki manifestuje „Super-Duch" przypisujący Kowalskiemu świętą misję ostatniego amerykańskiego herosa, walczącego o prawo osobistej wolności, pomoc, z jaką przychodzą Kowalskiemu w Dolinie Śmierci stary traper czy wolny hippie, to gesty ludzi z marginesu, ludzi nie znaczących, szaleńców i maniaków. Ameryka — to ci, co przez szyby swych omów, zza opłotków, czy po prostu przed telewizorami w swych mieszkaniach czekają na chwilę, gdy wreszcie prawu stanie się zadość, gdy ukarany zostanie ten, którego szaleństwa nie mogą zrozumieć. Na tej próbie „rozszyfrowania" Kowalskiego zbudowany jest cały film, skonstruowany jakby na zasadzie ankiety, w której padają pytania — kim jest Kowalski?

„Znikający punkt" jest filmem kilku warstw znaczeniowych, to pewne. Jeśli poprzestaniemy jednak tylko na jednej obejmującej historię pościgu, to i tak pozostaniemy w sferze doskonałości w odniesieniu do filmowej roboty. Było już w amerykańskim filmie kilka prób osadzenia w dawnych westernowych plenerach i realiach nowej, współczesnej rzeczywistości. Przypomnijmy tu choćby „Skłóconych z życiem". Nigdy jeszcze jednak westernowy pejzaż nie zagrał tak mocno w temacie współczesnym, a od czasu „Chciwości" Stroheima dopiero w „Znikającym punkcie" Dolina Śmierci zyskała swe znaczenia symboliczne. Biały „Dodge" Kowalskiego, mustang drugiej połowy XX wieku, przemierza przestrzenie stanu Utah, Nevada, Kalifornia, prowadząc swego właściciela do tragicznego celu. Budowanie napięcia znaczy w „Znikającym punkcie" tyle, co potęgowanie atmosfery absurdu. Historia rozpoczęta mało znaczącym zakładem, fantazją i perfekcją jazdy świetnego kierowcy, poprzez kolejne jej etapy, prowadzi do walki na śmierć i życie człowieka osaczonego, winnego bez winy. Jeżeli nie pozostać w sferze czystego absurdu, trzeba stawiać pytania racjonalne — przed czym bohater tak ucieka, czego właściwie chce ucieczką swą dowieść. Czy jest to rzeczywiście próba manifestu prawa do wolności własnej, prywatnej w świecie tak znakomicie zorganizowanym? Nie ma w filmie Sarafiana odpowiedzi jednoznacznej, lecz to wszystko, co historia pościgu grupuje wokół siebie, te drobne kompozycyjnie znakomicie wprowadzone migawki z życia Ameryki, każe, mimo wszystko, odpowiedzi tych szukać.

Film Sarafiana skonstruowany bezbłędnie od pierwszego zawieszenia akcji, przez wszystkie jej fazy, znakomite w wątku prowadzącym i uzupełniających epizodach, do dramatycznego finału, jest wspaniałą szkołą filmowego opowiadania, sposobów portretowania bohatera, o którym stopniowo wiemy coraz więcej choć nie wszystko, jest szkołą stawiania problemów nie wprost, choć niezwykle sugestywnie, jest lekcją montażu i filmowej fotografii, przypomnieniem funkcjonalności muzyki — komu ta lekcja potrzebna, prawie wstyd już pisać. Dla nas, zwykłych śmiertelników, „Znikający punki" to tylko wynik pracy tych, którzy kino umieją robić i umieją wykorzystać, gdy chcą przez nie coś powiedzieć.

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA

LUCY CROWN. Zręczna adaptacja Kamilli Klein. Więcej niż sprawna reżyseria Andrzeja Łapickiego. Aktorzy wyśmienici. A jednak...

Pochwała goni pochwałę, lecz niewiele z nich jeszcze wynika. A wątpliwości mnożą się, kiedy sięgnie się za podszewkę tej aktorsko-dramaturgicznej sprawności. Bo jest prawdą, że rozwój akcji, kolejne perypetie bohaterów wciągają nas do owej rozgrywki, pytania jednak pozostają. Dlaczego właśnie taka jest reakcja bohaterów, a nie inna? Skąd się to właściwie wszystko bierze?

Dla mnie psychologizm Irwina Shawa jest sztucznym, czysto irracjonalistycznym wymysłem. Banalny przypadek dominacji starszego, doświadczonego mężczyzny, dodajmy jeszcze — intelektualisty, nad młodą żoną, typową kurą domową, staje się przyczyną dramatu obracającego w niwecz życie trzech osób. Przyjmuje wymiar niemalże antycznej tragedii.

Jest to wszystko po prostu dęte i fałszywe. Pozorna logika rzeczy i wydarzeń prowadzi do absurdalnych, nierzeczywistych układów. Lucy Crown przez piętnaście lat jest wzorową żoną, bez zastrzeżeń akceptującą istniejący układ. Dopiero letnie wakacje nad jeziorem w towarzystwie zakochanego w niej dwudziestoletniego chłopca, zbliżenie między nimi, przekonywania, a wreszcie dekonspiracja za sprawą trzynastoletniego syna — wywołuje odruch protestu, buntu. Dodajmy, aby uniknąć wątpliwości, w stylu okrutnie banalnym, płaskim i jakby z pogranicza patologii.

Jej przywiązanie i wzajemne uczucia do dziecka, zamieniają się w obsesyjną nienawiść. Dziecko zostaje wysłane do internatu, wyłączone z rodziny na zawsze. Rodzina też właściwie przestaje jako taka istnieć. Shaw demonizuje to poprzez krwiście naturalistyczne przykłady.

Finał jest przy tym... optymistyczny. Mąż ginie wcześniej w sposób bezsensowny; szukając sam śmierci. Matka odnajduje przypadkiem syna w Europie, w paryskim bistro, podczas jego nocnych wędrówek z mroczną i nieszczęśliwą miną, co ma pewnie sugerować, że cały czas cierpi i wspomina nieustannie matczyny romans.

Taka jest cała psychologiczna warstwa tego utworu. Te pozorne głębie, sztuczne gesty, mroczność ludzkiej duszy, pod którą naprawdę nic nie ma, bo wszystko jest pozorem.

A jednak patrzyło się na to-to z zainteresowaniem. Barbara Wrzesińska jako Lucy Crown była jedynym argumentem przeciwko temu wszystkiemu, co wyżej napisałem. Jej doskonała gra tuszowała mieliznę myślowe spektaklu, ale przecież cudów nie ma. Z pomysłu, z fałszywej psychologicznie przesłanki, nie wykroi się dramatu, który porusza człowieka do głębi.

WIECZÓR KAWALERSKI. Znów sceneria amerykańska. Jakże tu wszystko odmienne, a jednocześnie skądś znajome. Film na pewno dobry, ze znakomitymi scenami. Życie codzienne, życie biurowe amerykańskiej klasy średniej. Dobra gra aktorska, dobra reżyseria. I znów problemy... Mieć dziecko czy nie? Zdradzić żonę, czy nie zdradzić tylko grzecznie wrócić do domu, rzucić kursy, które skazują żonę na osamotnienie.

A więc mamy typowy film z tezą, w oparciu o znany schemat. A więc najpierw wszystko przeciwko głęboko ukrytemu założeniu, a potem końcowa wolta. A jednak tak musi być, nie wolno inaczej! Gdybym był zwolennikiem polityki pronatalistycznej, nie wymyśliłbym lepszej reklamówki. A może właśnie w owym czasie w Stanach o to chodziło? U nas, na szczęście tylko od czasu do czasu straszy nas teledyskiem Wanda Warska. „Miejcie dzieci", śpiewa przymilnie, ale brzmi to naprawdę jak groźba.

LEKCJA MIŁOŚCI. Żeby już nie było, że tylko adaptujemy amerykańskie powieści i pokazujemy stare amerykańskie filmy, w piątek otrzymaliśmy karmę rodzimej produkcji. Oryginalne dzieło Tadeusza Kwiatkowskiego pt. „Lekcja miłości" w reżyserii K. Ciciszwili. Oczywiście porównań być nie może, bo rzecz jest na wesoło, z tak zwanym przymrużeniem oka — taka farsa z farsy. Tekst współczesny, kostiumy z fin de siecle'u, zabawa ostra i krótka. Chłopak jest nudziarzem, dziewczyny nie chcą brać na teksty z encyklopedii, rzucają go po kolei. W akcję wkracza ojciec, podrywacz — specjalista starej daty. Z tej nauki też jednak niewiele wychodzi.

Z kolejnej próby rozrywki taki sam niewypał.

JAROSŁAW TARNO

Rys. A. Aleszczewa

BOGDA MADEJ

PIŁKARSKA JESIEŃ

Łódzcy piłkarze zakończyli już swoje występy w jesiennej rundzie rozgrywek ligowych i ku zadowoleniu licznej rzeszy kibiców zajęli dobre miejsca w ligowych tabelach. Odetchnęli przede wszystkim kibice ŁKS, którzy w początkach sezonu piłkarskiego 1972—1973 obawiali się powtórzenia sytuacji z poprzedniego sezonu. Sama dwukrotnie zadawałam na łamach „Odgłosów" pytanie: SPADNĄ, CZY NIE SPADNĄ? Nie spadli na szczęście, ale też pierwszy mecz rozegrany jeszcze w lipcu z warszawską GWARDIĄ i przegrany w stosunku 4:0 nie mógł napawać optymizmem. Drużyna startowała wtedy z ostatniego miejsca w ligowej tabeli.

Trudno powiedzieć, kiedy nastąpił przełom, bo po zwycięstwie nad opolską ODRĄ kibice wprawdzie śpiewali „Sto lat", ale już w następnym meczu z POLONIĄ drużyna ŁKS znów przegrała. Potem był remis w Mielcu, a po trzech bramkach Kasalika w zwycięskim meczu z ZAGŁĘBIEM Wałbrzych ŁKS był już na 5 miejscu w ligowej tabeli. Wygrana z WISŁĄ przyniosła drużynie 3 miejsce i wreszcie doszło do małej sensacji. 8 października ŁKS został liderem ekstraklasy! Radość co prawda była króciutka, ale ten fakt uzmysłowił całej piłkarskiej Polsce, że ŁKS znów liczy się na krajowych boiskach. Fakt ten wpłynął niewątpliwie i na postawę ełkaesiaków, którzy wreszcie uwierzyli, że stać ich na nawiązanie równorzędnej walki z każdym przeciwnikiem. Postawa drużyny w następnych ligowych meczach była tego najlepszym dowodem. Niezależnie od tego czy ŁKS zajmie w ostatecznej klasyfikacji 5 czy 6 pozycję, (zależy to od wyniku zaległego meczu GÓRNIKA Zabrze to i tak jest to dla drużyny duży sukces. Przypomnijmy przecież, że przez pewien czas mówiło się o ŁKS jako o kandydacie na lidera jesiennej rundy piłkarskich rozgrywek, że „Przegląd Sportowy", typując co tydzień swoją jedenastkę najlepszych piłkarzy, umieszczał wśród nich Tomaszewskiego, Korzeniewskiego i Maleńkiego, że po ostatnim meczu z LEGIĄ Kasalik i Ostalczyk zostali zakwalifikowani do młodzieżowej kadry Polski na najbliższe mecze międzypaństwowe. Swoistą ciekawostkę przynosi również tabela strzelców I ligi („Przegląd Sportowy" z 13 listopada br.) — wśród tych, którzy na swoim koncie mają po 3 bramki obok Deyny jest Kasalik i Ostalczyk, a gwiazdor polskiego piłkarstwa Włodzimierz Lubański strzelił w tym sezonie zaledwie... jedną bramkę.

Sukcesy ŁKS, aczkolwiek cieszą, skłaniają jednak do refleksji. W końcu jest to przecież prawie ta sama drużyna, która w ubiegłym roku martwiła kibiców. Co się wobec tego w ŁKS zmieniło? Zmienił się przede wszystkim trener. Paweł Kowalski w ciągu tak krótkiego czasu dowiódł, że o powodzeniu decyduje przede wszystkim właściwa koncepcja szkolenia i umiejętność wykorzystania zalet poszczególnych zawodników. W jedenastce ŁKS nie ma w tej chwili gwiazd, jest dobrze rozumiejący się zespół.

WIDZEW „nie ma łatwego zadania — gdyż niemal cała Łódź jest zakochana w ŁKS. Widzewiacy nie tracą jednak nadziei, że już w przyszłym sezonie rozegrane zostaną wielkie derby Łodzi ŁKS — Widzew, oczywiście w pierwszej lidze" — pisał „Przegląd Sportowy" (5 sierpnia br.) po drugiej kolejce spotkań II ligi. W dalszych numerach „Przeglądu Sportowego", zespół WIDZEWA, który przez pewien czas prowadził w II lidze, zdobył sobie miano REWELACYJNEGO BENIAMINKA. Mimo, że w ostatecznej punktacji widzewski zespół zajął 6 miejsce w drugoligowej tabeli, to na taką opinię uczciwie sobie zapracował. Startujące razem z nim w drugiej lidze drużyny zajęły znacznie gorsze miejsca: LECHIA — 9, MIKULCZYCE — 12, a WISŁOKA — ostatnie, 16 miejsce. W tej samej tabeli była pierwszoligowa drużyna STALI z Rzeszowa zajęła dopiero 14 miejsce.

Pisałam już o WIDZEWIE w trakcie jesiennej rundy, żeby więc nie powtarzać swoich opinii posłużę się jeszcze raz cytatem z „Przeglądu Sportowego":

„Trener Leszek Jezierski dokonał dużej sztuki. W Widzewie nie ma wielkich gwiazd, za to jest to drużyna tworząca znakomity, zgrany kolektyw. Zespołowość — to największy atut łódzkiego beniaminka".

Żeby w pełni podsumować jesienną rundę piłkarską łódzkich drużyn należałoby jeszcze wspomnieć o ubiegłorocznych drugoligowcach: STARCIE Łódź i WŁÓKNIARZU Pabianice. Byłby to jednak zgrzyt w optymistycznych refleksjach, obu drużynom nie udało się bowiem odegrać większej roli w spotkaniach zespołów klasy międzywojewódzkiej. Miejmy nadzieję, że wiosna będzie dla nich pomyślniejsza. Miejmy również nadzieję, że i ŁKS i WIDZEW po zimowej przerwie przysporzą swoim kibicom wiele nowych emocji. Oby były to emocje radosne!

Rys. R. K. Grzybowski

§ „Tapicerzy"

Różne rzeczy ludzie kradną, o tapczanach słyszałem jednak po raz pierwszy. Tapczan, przedmiot skądinąd bardzo pożyteczny, lecz niepoważny. Wygodny do spania, ale niewygodny do kradzieży. Oczywiście, oprócz tego, że służy przeważnie do regeneracji sił, spełnia również funkcje schowka, skrytki lub skarbonki. Niedawno właśnie obiegła miasto wieść o starym tapczanie (po starej ciotce), wyrzuconym na śmietnik, z którego wysypały się złote „świnki". Dzieci miały dużą uciechę.

Ja jednak nie ten tapczan mam na myśli, lecz owe 75 wersalek, które zniknęły ze Spółdzielni Pracy „Tapicer" i nikt tego przez cztery lata nie zauważył. Kanapa to jednak nie szpilka. Główny inspirator, inicjator i organizator całej akcji 13 marca tego roku zjawił się na milicji i wyspowiadał przed oficerem dyżurnym z grzechu kradzieży. Sprawa znalazła swój epilog w sądzie, a sprawcy zamienili wygodne tapczany na niewygodne prycze. Wątpię, czy zrobili dobry interes, jak na tak wytrawnych handlowców. W skład szajki wchodzili bowiem rzeczywiście sami ludzie interesu. Szefem był Mieczysław Walenciak, starszy ekonomista do spraw zaopatrzenia, transportu i zbytu, jego prawą ręką madame Eugenia Wieczorkiewicz, wieloletnia kierowniczka sklepu meblowego „Brzoza", posiadająca prawie 20-letni staż pracy w tej chwalebnej branży.

Oboje doszli do porozumienia w roku 1968 i od tego czasu datuje się ich aktywna działalność na polu przestępczości gospodarczej. Walenciak tapczany „organizował" i przesyłał je do sklepu „Brzoza", Wieczorkiewicz sprzedawała, pieniędzmi dzielono się wprost proporcjonalnie do wkładu pracy organizacyjnej. Swój udział w przedsięwzięciu miała także kasjerka sklepu „Brzoza", Sabina Szymczak oraz magazynier sklepu „Brzoza" — Marian Dróżdż. Udział w korzyściach finansowych neutralizował ich opory natury etycznej. Prokurator Janusz Michalski stwierdził w swej mowie oskarżycielskiej, że istnieje moralność handlowa i ludzka, ale w tym wypadku żadnej z nich u oskarżonych nie zauważył.

Proceder kwitł, wszyscy byli szczęśliwi i zadowoleni aż do momentu, gdy księgowi Spółdzielni „Tapicer" J. Kaczyński i T. Przybyłek nie wyszperali w dokumentach, że coś tu nie gra. Szybko zorientowali się, że to nie gra z powodu machinacji Walenciaka, więc udali się do niego i zaproponowali, ażeby ich trochę wsparł finansowo. Dosłownie powiedzieli: „Panie Walenciak, przydałoby się i nam trochę pieniędzy". Pieniądze szczęścia nie dają, ale mało kto w to wierzy. Przybyłek i Kaczyński również tak uważali i dopiero po rozprawie sądowej przekonali się, że stare porzekadło nie jest wcale takie głupie.

Postawa obu finansistów przypomina nieco ową damę, która spostrzegłszy, że sąsiad się powiesił, a jego żona zemdlała, najpierw rzuciła się do ich szafy, ażeby opróżnić ją z futer. Jak widać Walenciak miał coraz więcej wspólników, a każdy na forsę pazerny. Księgowi, oczywiście, zostali sowicie opłaceni za milczenie i tuszowanie niedoborów. Co najciekawsze, na przestrzeni ostatnich czterech lat kilkakrotnie odpowiednie organa kontrolowały buchalterię Spółdzielni, nie dopatrzyły się jednak żadnych uchybień.

Okazuje się, że życie przestępcy, zwłaszcza gospodarczego, wcale nie jest usłane różami. Nie dość, że Walenciakowi karta nie szła w pokera, to i w totolotka pudłował, a na koniec pewna współpracowniczka, pani O. podsłuchała przez telefon, że prowadzi jakieś ciemne sprawy ze sklepem „Brzoza" no i, rzecz jasna, zażądała dwa tysiące złotych bezzwrotnej pożyczki.

Coraz cięższe jest życie złodzieja w naszym kraju. W końcu chłop się tak załamał, że sam postanowił oddać się w ręce wymiaru sprawiedliwości. Uczynił to w ostatniej chwili. Otrzymał też zaledwie osiem lat pozbawienia wolności, Wieczorkiewicz — sześć lat, Szymczak i Drożdż — po pięć lat, Kaczyński — dwa lata, Przybyłek — półtora roku. Do tego doszedł jeszcze przepadek mienia u Walenciaka i Wieczorkiewicza, wysokie grzywny oraz solidarny zwrot 226 tys. złotych na rzecz Spółdzielni „Tapicer". A wszystko tak pięknie się zapowiadało. Działalność swą wspólnicy zaczęli bankietem w restauracji pod obiecującą nazwą „Arkadia" czyli kraina szczęścia.

Niestety, jak ktoś nie ma wewnętrznych oporów przy przywłaszczaniu sobie cudzego mienia, trzeba go odstraszać wysoką karą. Muszę przyznać się szczerze, że procesy gospodarcze nie są ciekawe, one są po prostu nudne. Nic dziwnego, akt oskarżenia wygląda jak roczny bilans, a cały przewód jak działanie buchalteryjne: kto komu, gdzie, za ile, co i dlaczego. Ten proces nie był jednak taki nudny, a to tylko dzięki temperamentowi sędziego Eugeniusza Ograbka, który przewodniczył rozprawie, no i świetnym adwokatom, dzielnie broniącym swoich klientów.

Od kiedy Naczelna Rada Adwokacka ustanowiła nagrodę dla dziennikarza, podkreślającego i akcentującego w swych sprawozdaniach sądowych odpowiedzialną rolę obrońcy, postanowiłem tę nagrodę... postanowiłem gorliwiej przyglądać się pracy obrońców. Zresztą zawsze byłem pełen podziwu dla wdzięcznej roli adwokata. Jednakże od tego procesu mój podziw dla adwokatury stał się jeszcze większy. Usłyszałem bowiem z ust mecenasa S., którego darzę wielkim szacunkiem i dużym uznaniem, myśl nieprzeciętną. Otóż przewrotnie oświadczył on w swej mowie obrończej i to zdecydowanie, że „kodeks karny to jest wielka karta wolności". Wynika z tego niedwuznacznie, że myśl obrończa ewoluuje w bardzo oryginalnym kierunku.

KAROL BADZIAK

Polityka na świecie

Od sadzy Ruhry czernieje śnieg w Norwegii

O zagrożeniu naturalnego środowiska człowieka słyszy się ostatnio niemało przerażających wprost historii. W Europie trujący dym niszczy stopniowo średniowieczne kościoły. Niedawno komisja UNESCO wyszła z propozycją przykrycia Akropolu szklaną kopułą, a wartownicy przed tablicą pamiątkową Lincolna w Waszyngtonie opowiadają, że słyszą jak od deszczu przesyconego siarką cały gmach syczy jak woda sodowa. O ile kiedyś komin, wyrzucający kłęby czarnego dymu, był symbolem rewolucji przemysłowej, o tyle teraz ogromne i szpetne wieże systemów chłodzących otwierają nowy etap zanieczyszczania naturalnego środowiska człowieka.

Obecnie, na otaczającą nas przyrodę szczególnie silny wpływ wywiera działalność człowieka i staje się coraz bardziej oczywiste, że nie sposób rozwiązać tego problemu w pojedynkę. Minimum siedem krajów wyrzuca odpady do Morza Północnego. Od sadzy zachodnioniemieckiej przemysłowej Ruhry czernieje śnieg w Norwegii. Ren niesie do Morza Północnego potoki wód ściekowych, chemikaliów, odpadów organicznych, mnóstwo martwych ryb. Niegdyś nazywano go „starym ojcem Renem". Obecnie, wspaniały, malowniczy, pełen romantycznego piękna Ren przemienił się w cuchnący kanał ściekowy. Zanieczyszczone wody Renu świadczą o wysokim stopniu rozwoju przemysłowego krajów Europy. Skażenie naturalnego środowiska człowieka nie ogranicza się jednak tylko do tego kontynentu. Na przykład w Japonii, gdzie jest 19 milionów samochodów, zarejestrowano około siedmiu tysięcy zgonów, spowodowanych zanieczyszczeniem powietrza oraz 304 zgony wskutek zatrucia wodą, skażoną rtęcią i kadmem. Na plażach Wybrzeża Kości Słoniowej ludzie wychodzą z wody pokryci warstwą mazutu, którym zanieczyszczają Ocean tankowce transportujące ropę naftową. Obliczono, że do Oceanu Spokojnego wyrzuca się około dziesięciu milionów ton ropy naftowej rocznie.

W Afryce wody Zambezi są zaśmiecane przez ludność pięciu krajów.

Zanieczyszczanie naturalnego środowiska człowieka jest także przyczyną i skutkiem nędzy i plag, rozprzestrzeniających się w niezwykle szybkim tempie. Od wilgotnych, tropikalnych lasów Ugandy, aż po pustynię północnego Sudanu, Górny Nil jest wylęgarnią moskitów, które roznoszą malarię i przeróżne choroby przewodu pokarmowego oraz much, przenoszących infekcje. Warunki życia miejscowej ludności sprzyjają rozprzestrzenianiu się chorób.

Miasto Sao Paulo, w którym skoncentrowano około 80 procent brazylijskigo przemysłu przetwórczego, jest zawsze zasnute lekką mgiełką. Przydaje ona uroku i piękna zachodom słońca, ale ludzie zamieszkujący miasto płacą za to chronicznym schorzeniem gardła i płuc. W maleńkim miasteczku Kisarawe, w Tanzanii, u ośmiu osób, zmarłych tego samego dnia, wykryto we krwi śmiertelne dawki DDT. W wielu arabskich miastach labirynty wąskich uliczek i roje importowanych samochodów przypominają w miniaturze trującą atmosferę Los Angeles. Jak powiedział pewien oficjalny przedstawiciel ONZ, „jeżeli plagi ekologiczne dotrwają do następnego dziesięciolecia, to ich skutki odczują najdotkliwiej kraje słabo rozwinięte". Stopień zanieczyszczenia środowiska ludzkiego w tych krajach szybko zbliża się do poziomu krajów rozwiniętych, ale przecież większość narodów krajów „trzeciego świata" nie jest w stanie z nim walczyć.

Współczesna technika jest zdolna do usunięcia wielu rodzajów przeszkód, utrudniających ludziom normalne życie i pracę, nie wyłączając jednej z plag współczesnego świata — hałasu. Obecnie prowadzi się badania, zmierzające do zmiejszenia huku odrzutowych samolotów pasażerskich. Ale w większości dużych skupisk ludzkich nie zrobiono dotąd nic, lub prawie nic, w zakresie walki z hałasem. Wszystko to stwarza ogromne problemy w całym kompleksie ochrony środowiska przyrodniczego.

Choćby taki problem. Światowe zapasy takich surowców, jak węgiel, nafta, czy gaz ziemny, choć jeszcze dziś ogromne, nie są przecież wieczne. A zatem dalsze zapotrzebowanie planety na energię będzie chyba zaspokajane na bazie osiągnięć technicznych w dziedzinie syntezy termojądrowej, energii słonecznej, lub obu tych źródeł energii razem. Jednakże badania w dziedzinie syntezy termojądrowej przewidują poszukiwanie sposobów przeprowadzania reakcji w temperaturze wielu milionów stopni Celsjusza. A elektrownia słoneczna, o mocy dużej elektrowni atomowej, zajęłaby cztery mile kwadratowe, naszpikowane w dodatku nowoczesną aparaturą. Oto dlaczego żaden specjalista nie wierzy, by jakakolwiek z tych metod otrzymywania energii była opłacalna w obecnym stuleciu, a nawet w pierwszej połowie XXI wieku.

Rozwiązanie tych problemów, spowodowane koniecznością zaspokojenia rosnącego zapotrzebowania na energię, pociągnie za sobą nie mniejsze, lecz większe zużycie energii. Wygody życia codziennego spowodują wzrost zapotrzebowania na energię elektryczną. Także wiele mocy energetycznych pochłonie sama ochrona naturalnego środowiska człowieka, a jeśli miastom uda się uchronić od śmiertelnej pułapki samochodów, to rozwój transportu miejskiego pochłonie jeszcze więcej mocy energetycznych. Pamiętajmy też o energii dla nowoczesnych zakładów przerobu odpadów oraz dla systemów oczyszczających i regenerujących powietrze.

Nie przypadkiem, jak podaje „Newsweek", w USA rośnie niezadowolenie, wywołane faktem, iż walka o ochronę naturalnego środowiska nie daje pożądanych wyników. W związku z tym wielu specjalistów zastanawia się, jak daleko pójdzie samo społeczeństwo w „generalnym porządkowaniu" tych spraw, nie bacząc na kroki, przedsięwzięte przez właścicieli fabryk i rząd. Niektórzy biznesmani już dziś mówią, że niezadowolenie ludności sprowadzi do zera wszystkie ich kroki i przedsięwzięcia, związane z ochroną naturalnych zasobów przyrody: „Zaaprobowaliśmy nową politykę, związaną z tym przeklętym oczyszczaniem powietrza, a teraz oczekujemy, iż w odpowiedzi reakcja społeczeństwa zmusi Kongres do rewizji tej całej ustawy"...

Co więc należy zrobić? Oczywiście w jakimś tam stopniu przywrócić naruszoną równowagę między człowiekiem a jego planetą. Rzecznicy ochrony naturalnego środowiska człowieka proponują wiele rozwiązań. Jedno z nich, ekstremistyczne: zerowy przyrost zarówno ludności, jak i wskaźników ekonomicznych. Drugie, radykalne: planowa gospodarka socjalistyczna zamiast nie kontrolowanego systemu kapitalistycznego. Niektóre propozycje noszą odcień zachowawczy. Na przykład przeświadczenie, że jeśli cenę ochrony naturalnego środowiska człowieka wkalkulować do struktury obecnych cen, to system rynkowy automatycznie przywróci równowagę, uwzględniającą czynniki ekologiczne.

Amerykańscy ekonomiści lewicowej orientacji wyrażają pogląd, że winę za zamęt ekologiczny ponosi system wolnej konkurencji. Żądza zysku, mówią oni, warunkuje maksymalną eksploatację bogactw naturalnych, której towarzyszą najbardziej rabunkowe metody produkcji. Ich dewizą jest planowanie. „Skończyć z tym bałaganem w warunkach systemu kapitalistycznego nie można — mówi ekonomista Douglas Dought. — Skala problemów w zakresie ochrony naturalnego środowiska człowieka jest ogromna i można ją rozwiązać tylko w systemie ekonomiki planowej". Planowanie, jego zdaniem, mogłoby dać odpowiedź na pytanie, jakiego rodzaju produkcja jest najbardziej efektywna z punktu widzenia ekologii.

Trudno dokładnie przewidzieć, jaka ostatecznie recepta reform ekologicznych zyska aprobatę w świecie. Najprawdopodobniej zostaną uwzględnione wszystkie po trosze. Cieszy, że w tak krótkim okresie czasu człowiek zaczął działać nieomal na wszystkich frontach walki o ochronę naturalnego środowiska. Stoi jeszcze przed nim długa i trudna droga. Człowiek przez długi czas nie zastanawiał się nad swymi związkami z przyrodą. Teraz zrewidował swe stanowisko, nie przypadkiem właśnie dziś, gdy po raz pierwszy spojrzał na swoją planetę i ujrzał ją osamotnioną, wystawioną na ciosy i bardzo maleńką.

Opr. J. CZECH

TEATR

MILION – KAŻDEGO DNIA!

Teatr Ziemi Łódzkiej sięgnął po Andrzeja Jareckiego autora, który ma niezawodny słuch i wyczulenie na temat współczesny. Tym razem po widowisko estradowe „Wódko, wódeczko". Pamiętamy, że premiera tej składanki odbyła się kilka lat temu w warszawskim STS-ie i przyjęta została życzliwie.

Jarecki, zręczny majster sceny i człowiek bystro myślący, słusznie i celnie wybrał śmiech jako swój oręż. Realia, tekst — podpowiedziało samo życie. W widowisku wykorzystano wycinki z prasy, zwłaszcza z „Przyjaciółki", „Kobiety i Życia", „Kulis", z gazet codziennych, z listów do Polskiego Radia. Autor zajrzał do antyalkoholowych broszur i dzieł naukowych, nie zapomniał o Ignacym Krasickim, Janie Kochanowskim i Oskarze Kolbergu, jak i o „Kramie z piosenkami" Leona Schillera.

Co z tego wyszło autorowi? Co z tym coctailem zrobił teatr?

Właściwie to drugie pytanie jest istotne. Co zrobiono z tego „wesołego dreszczowca"?

Wbrew pozorom wystawienie tej antyalkoholowej rewii nie jest łatwe. Trudności są całkiem prozaiczne, aktorzy muszą śpiewać, tańczyć, śmiać się razem z widzami i mówić rzeczy przeraźliwie smutne. Wszystko w tempie, w rytmie muzycznego podkładu z magnetofonu, do którego trzeba się dostosować. Dynamiczny ruch sceniczny jest w tym wypadku warunkiem decydującym. Przy słabszym tempie byłaby to rzecz zupełnie nie do strawienia. I to się udało.

Niezłe tempo ułatwiało proste choć pomysłowe rozwiązanie układu sceny. To samo można powiedzieć o scenografii, dostosowanej do warunków sceny objazdowej, a mimo to spełniającej wymogi estetyczne i funkcjonalne, jak karuzela-wirówka z biletami po rozmaitych trunkach.

Piosenka dla aktora to niby chleb powszedni, ale nie przesadzajmy. Moje obawy odnośnie tej strony widowiska okazały się na szczęście bezpodstawne. Zespół aktorski wywiązał się z tego zadania co najmniej dobrze. A na pewno nie byli gorsi od wielu pseudozawodowych zapiewajłów, o poziomie których nie chce się nawet myśleć, a cóż dopiero pisać.

Recenzent, który chciałby ocenić grę aktorów byłby w nie lada kłopocie, bo rzecz jest dość osobliwa. Nie ma tu ról pierwszo- i drugoplanowych, nie ma tu ról w tradycyjnym sensie w ogóle. Aktorzy po prostu tańczą, śpiewają, recytują prasowe notatki. Wyróżniłbym może Jolantę Szemberg za „Balladę o denaturacie" (tak!) i Barbarę Więckowską, która i ładnie śpiewała i wniosła niezbędną do tej alkoholowej aury szczyptę erotyzmu.

Oglądałem przedstawienie jednak z mieszanymi uczuciami. Czy ta zabawa ma sens? Zabawa? Jeśli tak, to bardzo smutna zabawa. Bo przecież cały czas byliśmy wyraźnie maltretowani. Tu piosenka, ładna i sympatyczna, którą nie jeden z nas podśpiewywał sobie w lekko chybotliwym stanie. A zaraz mrożące krew w żyłach liczby. Zamysł autorski jest tu przejrzysty, zasada zderzeń postaw, twierdzeń, obyczajów — konsekwentnie przez cały czas utrzymana. Wymowa ostateczna, oczywiście, jednoznaczna. Chociaż złośliwy chochlik podpowiada, żeby po spektaklu wyskoczyć na zakrapianą kolację, tak, jak głos obywatelskiego sumienia nakazuje raczej czynny akces do Towarzystwa Antyalkoholowego.

Znów wracam do autora. W skromniutkim programie Andrzej Jarecki z pasją i już na poważnie stawia pytanie: „Jaką rolę odgrywa wódka w przemianach ogarniających nasze życie społeczne, naszą psychikę, obyczaj, sposób myślenia?" I odpowiadając na to pytanie, stwierdza:

„W Polsce jest codziennie ponad milion ludzi pijanych. Każdego dnia milion pijanych krąży po naszych ulicach. A iluż z nich staje przy maszynach w fabrykach, na rusztowaniach placów budowy, zasiada za kierownicami samochodów? Przeciętnie zużycie alkoholu na głowę ludności wzrosło ponad trzykrotnie(!) w stosunku do okresu przedwojennego".

I dalej:

„Płyną słowa o upiększaniu życia, o socjalistycznej przebudowie człowieka, o świadomości, godności i moralności — a obok płynie wódka. Trucizna przynosząca największe ze wszystkich spustoszenia moralne, wywołująca wynaturzenia fizyczne, psychiczne i obyczajowe. Płynie coraz szerzej rozlewającym się nurtem. To powódź, która nas zalewa".

Zacytowałem tak obszernie wypowiedź autora widowiska, chociaż jego sprawą jest przemawiać ze sceny językiem dramatu. Ale mnie też nie chodzi tylko o zrecenzowanie przedstawienia, lecz by przy tej okazji wskazać na scenę jaką jest życie wokół nas, scenę, która za często, stanowczo za często, jest — przywołajmy tu do pomocy pewnego poetę — „jako pokład pijanego statku".

J. ŻAK

Kultura na świecie

TAJEMNICA „KAMIENIA Z ROSETTY"

W tym roku mija 150 lat od epokowego wyjaśnienia tajemnicy „Kamienia z Rosetty". Cóż to za kamień i jaką krył w sobie tajemnicę?

W roku 196 przed n. e. odbyła się w Memfis ważna uroczystość. Oto kapłani egipscy postanowili oddać hołd władcy i uczcić w sposób szczególny króla Egiptu Ptolemeusza V, który położył wielkie zasługi dla egipskiego kleru i egipskich świątyń.

Po raz pierwszy hellenistyczny władca Egiptu, Ptolemeusz z macedońskiego rodu Lagidów, otrzymywał koronę faraonów — pschent. Ku uczczeniu tego wydarzenia i utrwalenia sławy Ptolemeusza V na wieki, wyryto odpowiednie napisy na bazaltowej płycie o wymiarach jeden metr na 70 cm i 30 cm szerokości. Tekst sporządzono w trzech odrębnych pismach: hieroglificznym, hieroglificznym uproszczonym i greckim. Tak więc tablica zawierała ten sam tekst w dwóch językach lecz w trzech wersjach pisma. Język grecki umieszczono tu ze względu na Ptolemeusza, który jak i jego poprzednicy w hellenistycznym Egipcie, nie znał najprawdopodobniej języka swych poddanych. Na tablicy znalazły się m. in. imiona: króla Ptolemeusza, jego małżonki a córki Antiocha z rodu Seleucydów, Kleopatry (nie mylić z późniejszą królową Egiptu Kleopatrą Wielką, kochanką Cezara) i niejakiej Bereniki (z historii starożytnej znamy kilka kobiet o tym imieniu). Wspominamy o tym, gdyż trzykrotne powtórzenie każdego z tych imion, za każdym razem innym pismem, okaże się później bardzo istotne przy odszyfrowywaniu hieroglifów.

W blisko 2.000 lat później owa bazaltowa tablica została odnaleziona o 43 kilometry od Memfis w miejscowości nad Nilem, Rosetta (Raszid) i przeszła do historii pod nazwą „Kamienia z Rosetty". Stał się on potem kluczem do poznania starożytnych zabytków hieroglificznych.

Jak się to stało? Kim był człowiek, który odkrył tajemnicę „Kamienia z Rosetty"?

Był nim Jean-Francois Champollion, syn księgarza z miasta Figeac w południowo-zachodniej Francji. Już przy jego narodzinach pewien miejscowy znachor i jasnowidz przepowiedział mu dokonanie wielkiego czynu i sławę. Istotnie, dziecko, które przychodząc na świat zostało z trudem ocalone, a matka była bliska śmierci, okazało się niezwykle uzdolnione. Gdy miał lat pięć nauczył się sam czytać. Oto wyuczoną na pamięć bajkę tak długo porównywał z tekstem w książeczce, aż poznał litery i umiał odczytać tekst. W trzydzieści dwa lata później uda mu się odczytać tekst wyryty na „Kamieniu z Rosetty".

Gdy Napoleon ze swą armią przebywa w Egipcie, Jean-Francois Champollion ma 10 lat. Wojskom Francuzów towarzyszy ekipa naukowców. Oni to odnajdują „Kamień z Rosetty" i sporządzają jego dokładne kopie. Jedną z takich kopii przywozi Champollionowi jego starszy brat. Gdy Jean-Francois widzi hieroglify postanawia, że je kiedyś odczyta. Swoje studia kontynnuje na razie w Grenoble. Kiedyś profesor pokazuje uczniom papirusy i ich kopie pokryte hieroglifami.. Czy ktokolwiek wie, co tu napisane? Profesor kręci przecząco głową. Wtedy odzywa się kilkunastoletni Jean-Francois: „W takim razie ja to odczytam, gdy dorosnę". Dotrzymał słowa. Ale potrzebował na to aż czternastu lat ciężkiej, żmudnej, wyczerpującej pracy. Po studiach w Grenoble, gdy mając lat siedemnaście, czyta przed miejscową Akademią wstęp do swej książki pt. „Egipt pod panowaniem faraonów", wyjeżdża na dalsze studia do Paryża. Mieszka tu na poddaszu, żyje bardzo skromnie. Pracuje bezustannie nad odczytaniem tajemniczego napisu. Mijają lata. Uczeni angielscy także pracują nad odczytaniem hieroglifów na „Kamieniu z Rosetty", który został przewieziony do Anglii i umieszczony w Muzeum Brytyjskim. Jednemu z tych uczonych udaje się zidentyfikować napisy imion w trzech wersjach pisma: Ptolemeusza, Kleopatry i Bereniki.

Pewnego dnia do mieszkania Champolliona wpada zadyszany przyjaciel. „Czy wiesz — woła — że już odkryto tajemnicę hieroglifów? Zrobił to Aleksander Lenoir. Opublikował broszurę". Zaniepokojony Champollion zdobywa tę broszurę. Zamyka się w swoim pokoju. Właścicielka mieszkania słyszy dochodzące do jej uszu głośne nieartykułowane dźwięki. Wreszcie otwierają się drzwi pokoju jej lokatora. W progu stoi Champollion. „On nic nie odkrył!" — woła wskazując na broszurę Lenoira.

W dniu 27 września 1822 roku Jean-Francois wybucha głośnym płaczem. Ale jest to płacz radości, „Tym razem — woła — jestem pewny, że dokonałem odkrycia!". I pada zemdlony z wysiłku, wyczerpania i wielomiesięcznego napięcia. Nim przyjdzie całkiem do siebie miną prawie trzy doby. Tegoż roku wielkie odkrycie Champolliona zostanie opublikowane przez niego drukiem. Powstała nowa gałąź wiedzy — egiptologia. Ale sam egiptolog nie był jeszcze w Egipcie. Nie dotknął nigdy (i nie ujrzy do końca życia) oryginalnego „Kamienia z Rosetty". Szykuje się ekspedycja naukowa do Egiptu, lecz zazdrośni koledzy, uczeni angielscy udaremnią mu wyjazd, oskarżając go, że wykorzystał ich badania i odkrycia. Sześć lat później dopiero Champollion staje na czele ekspedycji archeologicznej do Egiptu.

Jean-Francois Champollion umiera w marcu 1832 roku mając lat 42. Już po jego śmierci ukazuje się czterotomowe dzieło, wynik prac ekipy archeologicznej, na czele której stał Champollion: „Zabytki Egiptu i Nubii".

W roku bieżącym dla uczczenia 150 rocznicy odkrycia Champolliona odbywa się szereg imprez i uroczystości. W galerii egipskiej w Luwrze (zamkniętej od trzech lat) otwarto wystawę starej sztuki egipskiej z ekspozycją popiersia faraona Amenofisa IV, które ofiarowały Francji władze egipskie. Odbywają się liczne odczyty, wystawy, audycje radiowe i telewizyjne zarówno we Francji jak i za granicą. Rocznicę czci się w Szwecji, w Związku Radzieckim (papirusy egipskie znajdują się w muzeum. A. Puszkina), w Wielkiej Brytanii i innych krajach. Wielka księga na temat „Kamienia z Rosetty" i jego dziejów, ukaże się w Utrechcie. W Genewie zaś kończy się praca nad reedycją dzieła o „Zabytkach Egiptu i Nubii".

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

PRZESZŁOŚĆ teraźniejszość

Mazurek DĄBROWSKIEGO

Czy warto, w tej powodzi rocznicowych solenności, jakie towarzyszą nam każdego dnia, upomnieć się o pamięć dla czegoś, co wcale nie było wydarzeniem, które by wstrząsnęło światem, a przecież jest tak bardzo bliskie? Zaczęło się po prostu: przed 175 laty we włoskim mieście Reggio, gdzie właśnie stacjonowały legiony dowodzone przez gen. Jana Henryka Dąbrowskiego, Józef Wybicki skreślił do starej melodii „Pieśń Legionów", znaną później także pod imieniem „Mazurka Dąbrowskiego". Stało się to w początku drugiej połowy lipca 1797 r., zaś 20 tego miesiąca nastąpiło pierwsze publiczne wykonanie dzieła. Pieśń nie od razu i nie wszystkich zachwyciła, zwłaszcza przeciwników generała, którzy nawet przekręcali jej słowa, by nadać im wymowę dla niego niekorzystną, ale legioniści śpiewali ją coraz częściej. Za ich sprawą pieśń upowszechniła się najprzód na emigracji, potem w kraju.

W Polsce „Muzurka Dąbrowskiego" poznano najpierw w zaborze pruskim, do Warszawy zaś przywiozła go ponoć z podróży do wód karlsbadzkich Elżbieta z Branickich Sapieżyna, siostra osławionego hetmana, a matka generała artylerii litewskiej, marszałka Sejmu Czteroletniego Kazimierza Nestora Sapiehy. W czerwcu 1798 r. cesarsko — królewski starosta radzyński w zaborze austriackim, niejaki Friedrich von Hehe, meldował swym władzom, że podczas objazdu powiatu słyszał, jak kobiety śpiewają pieśni „rewolucyjne", wiele „bardzo podejrzanych, a najmilszych ich sercu, przypuszczalnie przemycanych z Warszawy". Do urzędowego raportu dołączył w oryginale, bądź w przekładzie teksty tych niepokojących go utworów. Znajdował się wśród nich także „Mazurek Dąbrowskiego".

Odtąd jego popularność jęła zataczać coraz szersze kręgi, zaś tekst stopniowo ulegał modyfikacjom. Polityczne, jak się zdaje okoliczności nie pozwoliły mu zostać oficjalnym hymnem narodowym ani w latach Księstwa Warszawskiego, ani w dobie Królestwa Polskiego. W okresie Królestwa Kongresowego jął z nim konkurować lojalistyczny utwór Alojzego Felińskiego, napisany ku czci cara Aleksandra II, zalecony wówczas do śpiewania „przez naczelnego wodza Wojska Polskiego", mianowicie „Hymn na rocznicę ogłoszenia Królestwa Polskiego", rozpoczynający się od słów: „Boże coś Polskę..." Z upływem czasu, kiedy zwrot o monarsze zastąpiono innymi słowami, hymn ten miał się stać jedną z najpopularniejszych polskich pieśni patriotycznych, śpiewaną od schyłku lat pięćdziesiątych XIX w. Jej ogromna kariera rozpoczęła się od warszawskiej manifestacji patriotycznej na Lesznie w 1860 r. „Mazurek Dąbrowskiego" miał również innego konkurenta, w postaci wykonanej po raz pierwszy w 6 tygodni po bitwie pod Grochowem na scenie warszawskiego Teatru Narodowego „Warszawianki", do słów francuskiego poety Casimir Delavigne w tłumaczeniu literata (i historyka) Karola Sienkiewicza, z muzyką Karola Kurpińskiego. Pokonał jednak wszystkich rywali i zyskał rangę najwyższą: hymnu narodowego w odrodzonym polskim państwie. Czy od razu?

Jest charakterystyczne, że Konstytucja z 1921 r., która mówi zarówno o barwach, jak godle państwa, ni słowem nie natrąca o sprawę hymnu narodowego. Wprowadzono go na zasadzie zwyczajowej, śpiewano w wojsku, w szkole, podczas państwowych uroczystości, ale przecież nie było oficjalnego aktu, który by mu tę rangę przyznał. Jako oficjalny hymn państwowy określono go urzędowo dopiero w 1926 r., w zarządzeniu Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, nakazującym wprowadzenie go w tym właśnie charakterze do szkół...

Hymn narodowy to szmat historii Polaków. Historii nie zawsze już dziś pamiętanej. Bo dlaczegóż na przykład śpiewamy: „Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę"?, kiedy jako żywo wydaje się, że skoro legiony miały nadejść z Włoch do Polski, kolejność winna być odwrotna? A jednak nie. Tekst hymnu jest w pełni uzasadniony; określa on drogę, którą legioniści zamierzali przybyć do kraju, tę samą, którą omawiano w projektach składanych w kwietniu 1797 r. rządowi francuskiemu i Bonapartemu. Miała ona wieść od południa, przez Węgry, do Galicji, a więc najpierw zamierzano przekroczyć Wisłę, a potem Wartę. Tak, jak w naszym hymnie.

A co znaczy: „Będziem Polakami"? Czyżby legioniści, nawet na obcej ziemi, Polakami nie byli, czyżby Polakami nie byli ci, którzy zostali w kraju? Dla ludzi pokolenia Oświecenia nie było wcale sprawą niewątpliwą, czy może istnieć naród inaczej, niż w formie państwowej. Upadek państwa skłonni byli uważać za upadek narodu. Nawet tak niepodejrzani w swym patriotyzmie Polacy tych czasów, jak Stanisław Staszic czy Tadeusz Czacki, głośno powiadali, że rozbiory wymazały Polskę z liczby „narodów", nie tylko państw. Być Polakiem oznaczało dla nich mieć własne, polskie państwo. I właśnie ślad takiego myślenia, dzisiaj już anachronicznego, znalazł się również w naszym hymnie.

Inna zagadka: co to za Basia, o której mowa w piątej zwrotce? Niesłusznie usiłowano ją wiązać z konkretną osobą drugiej żony generała; chodzi tu bowiem o co innego, o ukazanie pełnego napięcia oczekiwania Polaków w kraju na mające się dokonać wyzwolenie...

Hymn narodowy, to szmat dziejów naszego narodu. Adam Mickiewicz z katedry Collège de France rzekł, że otwiera on polską „historię współczesną". Jego pierwsze wiersze „znaczą, że ludzie, zachowujący w sobie to, co stanowi istotę narodowości polskiej, zdolni są przedłużyć byt ojczyzny niezależnie od wszelkich warunków politycznych i mogą dążyć do jego przywrócenia". Dzieje narodu w XIX i XX stuleciu wielokrotnie aktualizowały sens słów: „Jeszcze Polska nie zginęła..."

LEKTOR

Zdarzeni A • I • Zwierzeni A

Literatura na świecie

O „Literaturze na świecie" pisaliśmy w „Odgłosach" równo półtora roku temu. Potem jakoś wokół tego miesięcznika nastąpiła cisza, choć miał on zarówno wielu zwolenników jak i przeciwników. Była jednak „Literatura na świecie" zbyt akademicka, no i chyba brakowało w niej przekładowych „szlagierów„ które przecież żadnemu pismu nie szkodzą. Pewno, że ciekawie było poczytać przekłady egipskie czy murzyńskie, ale w końcu nie kosztem tych i s t o t n y c h wartości, które w literaturze światowej tkwią.

Trochę nie najlepszej reklamy narobił również „Literaturze na świecie" plagiat (wierzę, iż niezamierzony) z przekładu Lorki, bo to w końcu tłumacz może się zdrzemnąć i pomylić teksty, ale redakcja, która je drukuje, bierze na siebie odpowiedzialność za literacki skandal. Tak więc o miesięczniku mówiono, ale w tonacji nieraz dwuznacznej. W tej atmosferze umykały treści istotne.

Nowy, październikowy numer „Literatury na świecie" zdaje się zapowiadać właśnie istotne treści i pozycje światowej literatury. Wacław Sadkowski — nowy redaktor naczelny — zaprezentował na pierwszy ogień Jorge Luis Borgesa, wybitnego pisarza argentyńskiego. Nawiasem mówiąc Borgesa darmo szukać w „Małym słowniku pisarzy świata" i nie jest to wymówka pod adresem wydawcy. Natomiast jest zasługą nowej redakcji miesięcznika, że poszerza nasz obraz literatury o wartości nowe, lub choćby nieznane na polskim gruncie.

Siedemdziesiąt stron przekładów Jorge Luis Borgesa to na pewno pierwszy szlagier październikowej „Literatury na świecie". Dodajmy jeszcze, że autorką przekładów jest Zofia Chądzyńska, znakomita tłumaczka z hiszpańskiego, która Argentynę zna dobrze i jest z pewnością najbardziej predestynowana do wprowadzenia Borgesa na polski grunt.

Drugim szlagierem jest fragment powieści Ernesta Hemingwaya — oczywiście w przekładzie Bronisława Zielińskiego. Jest to, podobnie jak „Zielone wzgórza", zbeletryzowany pamiętnik z safari. Rękopis — jak zaświadcza Zieliński — liczy 850 stron i powstał w roku 1955. Zaledwie przed paroma miesiącami opublikowano po raz pierwszy w Anglii fragmenty tej książki z przebogatej spuścizny Hemingwaya Fakt, że już jesienią polski czytelnik otrzymuje przekład świadczy dobrze o operatywności tłumacza i redakcji.

„Lew Miss Mary" stanowi kawał znakomitej, mistrzowskiej prozy i jest jeszcze jednym zaprzeczeniem plotki o niemocy Hemingwaya. Fakt, że już jetach przed tragiczną śmiercią. Pisarz pozostawił zresztą niezwykle bogaty dorobek sięgający blisko 20 tysięcy stron maszynopisu — od powieści i opowiadań aż po wiersze i reportaże. Pisze Bronisław Zieliński, że nie sposób przewidzieć, ile z tych utworów doczeka się publikacji i kiedy to nastąpi. Należy jednak mieć nadzieję, że wdowa po pisarzu będzie stopniowo udostępniała niektóre z nich licznym rzeszom wielbicieli Hemingwaya na całym świecie.

Trzecim szlagierem październikowego numeru jest „Szewska pasja Filipa Hotza" Maxa Frischa. Ową farsę w jednym akcie przełożył Kazimierz Piotrowski.

Tak więc mamy trzy atrakcje w jednym numerze. Można by się obawiać, że po tak świetnym starcie zabraknie oddechu na następne miesiące. Okazuje się, że nie. W najbliższych numerach „Literatury na świecie" przygotowano czytelnikom sporą porcję ważkich i interesujących pozycji.

Oto przeczytamy eseje Saula Bellow, wiersze Konstantego Simonowa, Aleksandra Kirsanowa i Gienadija Ajgi, nowe przekłady Majakowskiego, prozę Wiktora Niekrasowa i Tynianowa... A ponadto szkic Malcolma Cowley „Trzy epoki mitu w piśmiennictwie amerykańskim", Italo Calvino „Smog", Ralpha Ellisona „Niewidzialny człowiek"...

Nie koniec jednak atrakcji. Październikowy numer „Literatury na świecie" ukazał się w nowej szacie graficznej — znać tu rękę i talent Mirosława Malcharka. W „szkicu do autobiografii" Borgesa, Malcharek zastosował metodę filmową, przetykając tekst fotografiami pisarza od młodzieńczego portretu, poprzez kadry z lat dojrzałych, aż po całostronicową fotografię starszego pana z laską — zamykającą tekst autobiografii. Inną technikę zastosował przy powieści Hemingwaya, inkrustując tekst grafiką. Słowem — strona graficzna „Literatury na świecie" jest czwartym szlagierem miesięcznika.

Tak więc z czystym sumieniem prezentuję czytelnikom ten — zielony jak nadzieja — numer pisma, który po kilkunastu miesiącach szukania właściwego modelu odnalazł go wreszcie. Model jest prosty. Składają się nań materiały literackie ważkie, aktualne i dobre. I do czytania.

WIDOK

LEWYM OKIEM!

Z DYSKIEM na wczasy

Jednemu z moich przyjaciół, któremu wierzę bez zastrzeżeń jak sobie samemu, wziął i wyskoczył dysk. Okrutnie to nieprzyjemna historia i nie trzeba o tym nikogo przekonywać. Leczyć by można chirurgicznie, ale facet jest po zawale i nie bardzo się kwapi do takiego poważnego zabiegu. Więc zaczęto go szpikować zastrzykami, podgrzewać, naświetlać — cały drugi etat, jak mawiał, zajmowała mu kuracja i to przez długie miesiące. Aż doczekał się skierowania na wczasy sanatoryjne do Ciechocinka — oczywiście, w ramach urlopu wypoczynkowego. Wypadło na październik, zimno, deszcze, zawierucha.

Przedtem przyjaciel musiał — jak każdy sanatoryjny kandydat — skompletować pełną teczkę zaświadczeń i „wyników", a znów żeby skompletować, musiał przeprowadzić multum badań, analiz, prześwietleń, elektrokardiogramów. Wszyscy wiecie, jak to wygląda, błędne informacje, pan przyjdzie za tydzień, potem jeszcze raz, potem po wynik, nie, nie tu tylko tam, nie, nie dziś, za tydzień, tamtej koleżanki już nie ma a ja za nią nie będę odpowiadać.

Zebrał. Wyjechał. Ciechocinek ma świetną sławę, podobno pomaga, leczy, uzdrawia. Gruba koperta „wyników" nie przydała się co prawda na nic, bo pani doktor nawet na nią nie spojrzała. Przez ręce pani doktor przechodzi dziennie tylu połamańców, że wreszcie można się znudzić. Zamiast papierków kazała się rozebrać. A ponieważ zna swój fach świetnie i wszystko wie na pierwszy rzut oka a nawet bez rzutu, jednocześnie zaś za drzwiami czekała wrzeszcząca a niecierpliwa gromada pacjentów — pani doktor nie podnosząc wzroku znad biurka kazała się też ubrać. Było to dobre ćwiczenie sprawnościowe, znane kolegom wojskowym z próbnych alarmów: rozebrać — ubrać. Przyjaciel dyskobol otrzymał gotowy przepis, ordynujący mu ciechocińskie, niepowtarzalne zabiegi.

A więc inhalacje, które daje się wszystkim. — Nie wiem, dlaczego, inhalacje na dysk — mówił mi przyjaciel — ale brałem. Primum non nocere. Byleby nie zaszkodziły.

A więc trzy rodzaje lamp, takich samych, jakie aplikuje się w każdym mieście, w każdej lecznicy, bez wyjazdu do Ciechocinka.

A więc pięć okładów borowinowych; nie są one zbyt wskazane dla ludzi z blizną na mięśniu sercowym, ale przecież pani doktor nic o bliźnie nie wiedziała, ani nie przeczytawszy papierków, ani nie zapytawszy pacjenta. Zresztą już przy pierwszym okładzie przyjaciel zasłabł i na dalsze nie chodził, więc nic się nie stało.

No i trzy rodzaje kąpieli. Upomniał się o masaże, bo tak mu radził lekarz łódzki. Niestety, masaże wyszły. Zabrakło. Wystarcza ich tylko dla gości sanatoryjnych, poza urlopem. Bardzo dobrze, bo i tak wypadło pięć zabiegów dziennie.

Pięć zabiegów — a każdy w innym miejscu. Połowa urlopu (wypoczynkowego!) w biegu tęgim kłusem, z mokrymi włosami, spoconą szyją, z mokrym ręcznikiem w torbie. Żadnych tam odpoczywań po kąpieli. I tak by człowiek nie zdążył, gdyby nie to, że uczynne panie pielęgniarki coś tam z każdego zabiegu utną — tu dwie minutki, tam trzy, gdzie indziej pięć. Tylko inhalować można dowoli, śpiewając we mgle ludowe piosenki. Zdrowi to mają dobrze: — mogą sobie przez cały urlop wypoczywać, i to przez cały urlop wzięty zgodnie z planem, a więc przeważnie latem. Dyskobol musiał przeczekać całe lato, wziąć urlop wtedy, kiedy mu dali, i przebiegać go z wywieszonym językiem.

Pani doktor drugi raz już pacjenta nie widziała. Od urzędniczki z domu wczasowego dostał kartkę wypisu z diagnozą. Diagnoza była po prostu przepisana z diagnozy łódzkiej — to zrozumiałe, nie mogła być inna. Czyli papierki jednak na coś się przydały, przynajmniej w drugim etapie kuracji.

Teraz przyjaciel leczy katar, złapany podczas biegu pomiędzy kwaso-węglówką a solanką. A tak jest niewyrozumiały, że jeszcze narzeka. — W lipcu, powiada, poleżałbym przynajmniej pod sosenką i wygrzał gnaty. A tak — kiedy ja wreszcie wypocznę? Jak wyzdrowieję?

ĆWIEK

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6.50 zł. kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 2509. D-7.